Nr. 38. Lwów, Niedziela dnia 27. Maja 1877 r. Tom V.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK IV.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni Ad. Dygasińskiego.

Redakcya:
Ulica Akademicka l. 8.
Administracya:
Księgarnia Polska l. 12 ul. Kopernika.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

GŁODNE APOSTOLSTWO.

Wiele się u nas mówi i pisze o wysokiem powołaniu nauczycieli szkół ludowych, nazywając ich w biesiadnych toastach apostołami oświaty, kapłanami przyszłości itp. Ile w tych pięknych nazwach prawdy, zależy od indywidualności nauczyciela. Jeżeli przejmie się szczerze ważnem swem zadaniem, jeżeli czuć będzie całą odpowiedzialność spadającą na siewcę, którego ziarno dobre czy złe, zarówno się w umysłach dziatwy przyjmuje — jeżeli nie poprzestanie na samej tylko pracy szkolnej, ale sam nad sobą, nad własnem wykształceniem i postępem pracować będzie, zawód jego stanie się na prawdę apostolstwem. Czy większość nauczycieli przejęła się tem zrozumieniem powołania swego, okażą dopiero skutki będącej w toku reorganizacyi szkół — to zaś pewna, że społeczeństwo samo stara się o to, ażeby z pewnych przynajmniej zewnętrznych znamion nauczycieli do apostołów przyrównać można. Apostołowie chodzili boso — i nieraz bywali głodni — i nie mieli nic, coby swojem nazwać mogli. Nie lepiej dzieje się naszym nauczycielom, i ta tylko zachodzi tu różnica, że gdy tamci w ostateczności jeszcze się uciekać mogli do cudu, nauczyciele chyba cudem nazwać muszą to, co im się prawnie najsłuszniej należy: opiekę skuteczną ze strony władz szkolnych.

Na dowód przytoczymy fakt, który między nauczycielami wywołuje powszechne a słuszne oburzenie. Wiadomo, że reorganizacya szkół dokonywa się przez nowe obsadzenie posad nauczycielskich kandydatami odpowiadającymi dzisiejszym wymaganiom, i przez wyznaczenie im płacy ustawą szkolną przepisanej. W mieście Lwowie dokonano reorganizacyi szkół jeszcze w r. 1875, a reprezentacya miasta, zawsze o dobro szkół i rozwój oświaty troskliwa, wyznaczyła nauczycielom płace znacznie wyższe od przepisanych ustawą, i wcale wystarczające. Od reorganizacyi tej wyjęte były dwie szkoły, zwane dawniej „głównemi wzorowemi“ (*Muster-Haupt-Schule*) dla tego, że przed zaprowadzeniem seminaryów nauczycielskich istniały przy nich zakłady będące parodyami szkół nauczycielskich, a zwane wówczas „preparandami.“ Szkoły te niby wzorowe, utrzymywane były częściowo z funduszów rządowych, a w części kosztem gminy, i dla tego też przed reorganizacyą ich musiano przeprowadzić rokowania między gminą a rządem, reprezentowanym tu przez radę szkolną krajową, o obowiązek utrzymywania tych szkół. Rokowania te wlokły się dość długo, aż wreszcie zakończyły się tem, że gmina obie te szkoły, którym nadano teraz nazwę szkół Piramowicza i Konarskiego przejęła na własny fundusz, zastrzegając sobie tylko dochodzenie praw swych do gruntu będącego własnością jednej z nich.

Po takiem usunięciu przeszkód reorganizacyi, Rada miejska, której według ustawy przysługuje prawo prezenty, zamianowała w październiku r. 1876 nauczycieli obu tych szkół. I od października do tej chwili, więc przez siedm przeszło miesięcy, nie mogą się nauczyciele doczekać z Rady szkolnej krajowej potwierdzenia swej nominacyi. Jednemu z nich sprzykrzyło się czekać, i... umarł, a wdowa po nim prawdopodobnie nie będzie mogła otrzymać pensyi wyższej, jakąby jej przyznać musiano, gdyby się Rada szkolna krajowa była z nominacyą pospieszyła.

Łatwo ocenić, jaką krzywdę wyrządzono przez to nauczycielom. W r. 1872 uchwalono ustawę szkolną — obudzono w nich przez to już nie nadzieję, lecz pewność polepszenia bytu, o tyle przynajmniej, żeby spokojnie mogli się oddać pracy zawodu swego, i nie marnowali sił w nieustannej trosce o los swych rodzin. W r. 1875 ustawa szkolna wchodzi w życie we Lwowie, nauczyciele innych szkół już z niej korzystają, tylko nauczyciele szkół „wzorowych“ mają być dla innych wzorem głodnego apostolstwa. Wreszcie w r. 1876, w cztery lata po obudzonych nadziejach, Rada miejska obsadza posady, nadzieje zdają się już spełnione po długiem oczekiwaniu już się nauczyciele czują ustaleni — i upływa jeszcze długich siedm miesięcy, i do tej pory jeszcze sprawa ostatecznie nie jest załatwioną.

Kto temu winien? Powiadają, że jeden z pominiętych przy obsadzaniu, nauczyciel już dawno wysłużony, wniósł rekurs przeciw pominięciu. Jest to ze strony Rady szkolnej tłumaczenie, żadnej nie mające podstawy. Gdy ustawa orzeka, że przy reorganizacyi wszystkie posady mają być na konkurs wystawione, i na nowo obsadzone, to przeciw pominięciu przy nominacyi nigdy i nigdzie według ustaw ani rozporządzeń kandydatowi nie przysługuje prawo rekursu. Powiadają znowu, że Rada szkolna myśli Radzie miejskiej zwrócić propozycye jej z grzecznem zapytaniem, czyby też nie chciała na posadę dyrektora jednej z tych szkół przedstawić innego kandydata? Uważamy to jako bezwarunkowo niemożliwe. Rada szkolna krajowa ma tylko prawo badać, czy przedstawiony posiada wymagane kwalifikacye czy nie, i w drugim razie odrzucić propozycyą — lecz absolutnie nie ma prawa Reprezentacyi gminy narzucać kandydata. A gdyby w istocie taki był zamiar Rady szkolnej, to czyż nie mogła uczynić tego zaraz po otrzymaniu propozycyi ze strony Rady miejskiej? czyż potrzebowała czekać na to całych siedm miesięcy? Powiadają wreszcie, że zwłoka nastąpiła w skutek kwestyi o język wykładowy w szkole Konarskiego, która dawniej była ruską. Ale przedewszystkiem zauważyć tu należy, iż wyłączne prawo orzekania o języku wykładowym przysługuje gminie utrzymującej szkołę, i że prawa tego nikt naruszyć nie może. Powtóre zaś sprawa ta najmniejszego wpływu nie ma na nominacye, nauczyciele prezentowani bowiem mają kwalifikacye do szkół z językiem wykładowym tak ruskim jak i polskim. Jest więc ze strony Rady szkolnej albo zaniedbanie i opieszałość bardzo naganna, albo też kieruje się taż Rada jednym z powyższych względów, które, jak wykazaliśmy, nie są *prawne*.

Nie chodzi tu w tej sprawie o interes tej lub owej jednostki — chociaż trudno pozostać obojętnym na widok ludzi ciężko z losem walczących, obarczonych rodzinami, a daremnie czekających na to, co im się najsłuszniej według prawa należy. Takie oczekiwanie, niepewność

taka, to najgorsza kara, jaka spotyka niewinnych, bo szczerze i gorliwie w zawodzie swym pracujących ludzi. Lecz chodzi tu głównie o sprawę szkolnictwa w ogóle. Wymagamy dziś wiele od nauczyciela szkoły ludowej. Zakres wiadomości wchodzących w program nauczycielskich examinów, jest bardzo obszerny. Nauczyciel nie może po zdaniu examinu i otrzymaniu poprzestać na uzyskanym patencie — musi pracować dalej, musi iść z postępem, musi sobie przyswajać doświadczenia przez pedagogów czynione, aby z nich korzystać. Sama praca w szkole ludowej jest tak uciążliwą, że niejeden z referentów dzisiaj przy zielonym stoliku rozstrzygających o losie nauczycieli, nie podjąłby się jej; gdyby mu dzisiejszą nawet zdwojono pensyą. A obok takich wymagań, obok takiej pracy absorbującej całego człowieka — muszą nauczyciele ludowi poprzestać na bardzo skromnem utrzymaniu, bo stosunki materyalne kraju nie dozwalają na szczodre wynagrodzenie. Czemże choć w części to zastąpić? czem zapobiedz zniechęceniu, jakie łatwo wkraść się musi pomiędzy ludzi, którzy widzą się nieraz skazani na „głodne apostolstwo" i porównywają swoje położenie ze stanem innych, nie apostołów wprawdzie, ale też nietylko niegłodnych, lecz nieraz ponad zasługi opłacanych? Oto tylko troskliwem ze strony władz czuwaniem nad tem, ażeby im się nigdy żadna krzywda nie działa, ażeby zawsze prawu najściślej czyniono zadość, ażeby to skromne wynagrodzenie otrzymywali w całości, na czas, ażeby nie potrzebowali czekać lata całe na to, co im się według prawa należy. Taka opieka nad ludźmi, którym powierzamy wychowanie dziatwy naszej, jest obowiązkiem władz gminnych i szkolnych, obowiązkiem całego społeczeństwa. Bez niej zakradnie się między nauczycieli zniechęcenie i zobojętnienie, a z czasem i dezercya, która przerzedzi ich szeregi. Bo jeżeli w każdym innym zawodzie znajdzie i lepsze utrzymanie, i troskliwszą ze strony przełożonych opiekę, to w niejednym nauczycielu obudzić się musi myśl o zmianie zawodu. A nie pomogą wtedy najpiękniejsze kazania, i najwznioślejsze frazesy o „apostolstwie" nauczycieli. Spełnijmy nasz obowiązek wobec szkół i nauczycieli, nie czyńmy im krzywdy, otoczmy ich troskliwą opieką — a będziemy mieli prawo wymagać od nich poświęcenia.

SZKLANNY CZŁOWIEK.

Nowella

J. Łama i Włodzimierza Zagórskiego.

(*Ciąg dalszy.*)

Tak trwało lat kilka, aż w końcu, a mianowicie w kilka lat po wyjeździe Szklannego człowieka za granicę, umarł p. Paschalis, ku wielkiemu zadowoleniu Starowolskich, z których każdy sądził, iż stanął nareszcie u celu swych długoletnich zabiegów. Aliści było napisanem, że uwielbiany patryarcha zadziwi świat swoją niewdzięcznością, a zdziwienie to zostało wywołane testamentem, z którego się dopiero dowiedziano, że pan Paschalis zaadoptował był na kilkanaście lat jeszcze przed swoją śmiercią, siostrzenicę swej żony, pannę Olgę, *vulgo* Olenę Burmyło, bawiącą właśnie wtedy na wychowaniu w Krakowie, w domu niejakiego Zawirskiego, adwokata i wielkiego przyjaciela p. Paschalisa, któremu tenże opiekę nad małoletnią i egzekucyą testamentu powierzył.

Owoż tedy tej przybranej córce zapisał p. Paschalis dobra swoje na Bukowinie, tudzież kapitały w depozycie bankowym leżące, Starowola zaś obciążona rozmaitemi dziwacznemi legatami, dostała się w spadku Szklannemu Władysławowi i siostrze jego p. Anieli do równego podziału.

Vous concevez mon chèr wściekłość, która ogarnęła Starowolskich, odsadzonych w sposób tak nieprzyjemny od smacznego kąska, na który tak długo ostrzyli swoje zęby, tem bardziej że testament ten, *un vrai chef-d'oeuvre de malice, et de bouffonnerie,* ośmieszył ich na wieczne czasy, *car figurez Vous,* że p. Paschalis w nagrodę wszystkich kaligraficznych powinszowań swych bratanków, i wszystkich pantofelków, czapeczek, i poduszek haftowanych rączkami swych bratanic, zapisał każdemu z członków swej rodziny po jednym pęcherzu, tudzież po 200 guldenów, z warunkiem aby ta kwota każdemu z legataryuszów nie za życia, ale dopiero po śmierci, „na opędzenie kosztów uczciwego pogrzebu" zostałę wypłaconą.

Ale czas już, *que je revienne a mes moutons,* a właściwie do Szklannego Władysława, który, na wieść o swej niespodziewanej, a tak w sam czas przybywającej sukcesyi, powrócił niezwłocznie do kraju dla uregulowania swych majątkowych interesów. Sukcesya ta nie była wcale tak znaczną. Suchowola bowiem ma glebę zimną. a las wprawdzie piękny, ale zupełnie nieprzystępny, i wartą jest co najwięcej sto tysięcy. Odtrąciwszy od tego dług Towarzystwa kredytowego ziemskiego, tudzież inne ciężary i legata przez testatora poczynione, pozostawało Władysławowi i jego siostrze p. Ratatyńskiej około czterdziestu tysięcy do równego podziału. Pojmujesz pan że sukcesya wynosząca nie całych 20.000 nie jest wcale książęcym spadkiem, cokolwiek bądź przybywała ona w sam czas, aby szklanność Władysława ochronić chwilowo od rozbicia; po stracie macierzyńskiej schedy bowiem nie pozostawało mu nic innego, jak tylko w łeb sobie strzelić, albo też odszklannić się, szukając jakiegoś zajęcia.

I znowu odbyła się u cioci Pstrzykalskiej *en re* podziału Suchowoli narada. w której oprócz Ratatyńskiego, jego żony, oraz p. Ptaszyńskiej i ja brałem udział przypadkowy. Ratatyński, który przy każdej sposobności chętnie sobie wystawiał świadectwo uczciwości i nieskazitelnego charakteru, mimo to, a może właśnie dla tego, iż pod tym względem nie szczególniejszej używał reputacyi, wystąpił jako referent interesów Starowolskich, przemawiając w sposób następujący:

— Bóg mi świadkiem, że się wcale nie palę do tej Starowoli, bo to panie gleba licha, las wprawdzie piękny, ale na górach, powiadam kuzynkom na górach, jakby gdzieś na piecu. Choć zetniesz jodłę, to nie dojedziesz po nią wozem, ani saniami. To tylko panie ruina inwentarza, a coby się człowiek musiał przy tem nazłościć, to strach! Nie darmo to Prusacy utopiwszy tam z jakie 40.000 talarów odprzedali majątek ten p. Paschalisowi ze stratą. Ho ho, panie, Niemiec nie głupi; on wie co robi; umie szanować pieniądze, i nie decyduje się tak łatwo na stratę, jak my Polacy. A do tego mości dobrodzieju obciążył nieboszczyk Suchowolę długiem Towarzystwa kredytowego, i legatem w kwocie 20.000, które natychmiast trzeba wypłacić...

— Jakim legatem? — zawołała p. Ptaszyńska.

— Jakto *ma chère* — odpowiedziała p. Ratatyńska widocznie przez męża z wszystkiemi szczegółami sukcesyi obznajmiona — jakto? ty nie wiesz, że ten dziwak zapisał miastu Czerniowcom 2.0000, na utworzenie funduszu dla corocznego wyposażania jednego moralnego, a pracowitego rzemieślnika...

— *Impossible!..,*

— Ale tak, i to jeszcze bagatela! Wystaw sobie moja droga, że w statucie tego funduszu zastrzegł nieboszczyk pomiędzy równymi kompetentami pierwszeństwo rudym. a pomiędzy rudymi, tym, który będą mieli brodawkę na nosie...

— Cha, cha, cha! *C'est unique! c'est unique!...* Widzę jeszcze p. Paschalisa z rudemi włosami i brodawką na nosie!... Zdaje się, że nieboszczyk musiał się kochać w tych swoich wdziękach.

— Tak, ale my z Władziem musimy za to zapłacić 20.000!...

— Masz racyą moja kochana, to rzecz smutna! *Quelle scie! quelle scie!...*

— Ależ bo panie opowiadacie sobie tutaj dykteryjki — zawołał Ratatyński — a tu nie chodzi o to co nas będzie kosztować brodawka p. Paschalisa. ale o to czy mając na Suchowoli 40 000 tabularnego długu, a do tego natychmiastową wypłatę legatu wynoszącego 20.000, można się przy tym majątku utrzymać, czyli nie. Co do mnie to, jak Boga kocham, nie myślę wcale o tem, bo dość już mam kłopotów z Barkocinem, gdzie Bogu dzięki interesa są już prawie zupełnie uregulowane, i gospodarstwo, nie chwaląc się, idzie jak gdyby po maśle, a mimo to człowiek całe życie tylko musi harować, i użerać się aby go nie okradano. Cóżby to było dopiero w Starowoli, gdzie folwark z propinacyą razem niesie ledwie 4000, z których trzeba opłacić procenta, podatki i asekuracye? Słowo uczciwości daję państwu, że człowiek by tam nietylko zdrowie, ale i życie musiał stracić, nimby to doprowadzić zdołał do jakiegoś ładu, zwłaszcza jeżeli się zważy, że wchodząc w ten majątek trzeba by zaraz zapłacić legat, i przynajmniej część jakąś drugiej schedy. Nie jak żonę i dzieci kocham, ja się do tego nie palę...

— Ależ mój Marceli — przerwała p. Ptaszyńska — przecież cię nikt nie zmusza do tego, abyś brał Suchowolę...

— Ja wiem — odparł zaperzając się Ratatyński — ja wiem, kuzynka myślisz, że ja broń Boże chcę skrzywdzić Władysława. Otóż nie, słowo honoru daję. że nie. I owszem! Niech bierze Suchowolę, niech bierze, tylko jak powiadam interesa tamtejsze są bardzo zawikłane, i nie wiem zkąd Władysław wziąłby tych 40.000, któreby

trzeba zapłacić wchodzac w posiadanie tego majątku.

— A nie możnaby Suchowoli podzielić — zapytała ciocia Pstrzykalska.

— Nie można — odparł kategorycznie Ratatyński bo tabula jest zmazana. i wierzyciele nie pozwoliliby na przeprowadzenie podziału.

— Hm, jeżeli tak — wtrąciłem nieśmiało — to możeby najlepiej było majątek sprzedać, i podzielić się gotowemi pieniądzmi.

— Tak, niezawodnie!—odrzekł zwracając się do mnie Ratatyński — to byłoby najdogodniejszem, tylko że nie ma kupca, i nie łatwo go będzie można dostać, bo Suchowola została przez Prusaków skompromitowaną na długie lata.

— Mojem zdaniem — rzekła ciocia Pstrzykalska — powinienby Władysław objąć Suchowolę. Jest to chłopiec młody, pełen najlepszych przymiotów, i nie wątpię wcale że wziąwszy się gorąco do pracy, potrafiłby utrzymać się przy tym majątku. Jeżeli interesa tamtejsze są tak trudne, to tem lepiej konieczność obudzi w nim energią, i pozbawi go tej szklanności, z którą ostatecznie trudnoby mu było żyć pomiędzy ludźmi. Co do mnie, jabym mu chętnie oddała rękę Klimci, której mogę dać 25.000 posagu. Z pieniędzy tych mógłby Władysław zapłacić legat, i zagospodarować się troszeczkę, a Marceli i Anielcia, których dzieci jeszcze i tak niepodorastały, mogliby się na razie zadowolnić procentem, i pozostawić bratu kapitał tytułem pożyczki, dopóki by mu jakaś większa sprzedaż lasowa nie pozwoliła oczyścić majatku z tego długu.

Przyparty w ten sposób do muru Ratatyński gotował się właśnie do siarczystej repliki, ale go tym razem wyręczyła p. Ptaszyńska.

— *Y pensez-vous ma chère?* — zawołała. — Zaprzęgać Władysława do takiego jarzma, kazać mu codzień rachować sie z arendarzem, targować z kupcami, zagryzać z ekonomami i parobkami, jemu który w duszy ma tyle poezyi, którego wszyscy słusznie nazywacie Szklannym Człowiekiem? Nie, nie! to byłoby barbarzyństwo! Krzyształowy umysł jego brzęknął by boleśnie przy najmniejszem trąceniu; trywialne tchnienie rzeczywistości zaćmiłoby świetną jego powierzchnię...

— Ale dajżeż nam pokój Fruziu, z twoją poezyą — przerwała niecierpliwiąc się ciocia Pstrzykalska. — Przecież trudno, aby młody chłopiec posiadający tylko wcale nie wielki majątek zamykał oczy na rzeczywistość z którą się w życiu na każdym kroku musi spotykać! Wyczytałam w jakiejś książce, że poezya nie na tem zależy, aby sobie jakieś tworzyć ideały, których urzeczywistnić nie można w zyciu, ale na tem, aby umieć sobie wyidealizować prozę życia, i połączone z nią obowiązki. Wprawdzie nie zrozumiałam ja tego tak zupełnie, ale czuję, że to głęboka prawda, która w zastosowaniu do Władysława obecnego wypadku zamyka się w tem że Władysław powinien raz zacząć żyć rzeczywistem życiem, ożenić się i pracować.

— Nie, nie, nie! *Jamais!* — zawołała zapalając się coraz bardziej p. Ptaszyńska. — A zresztą wiesz dobrze Zuziu, *quelles sont les opinions Władysława sur le mariage.* Pamiętasz przecie, że kiedyśmy go swatały z Lalcią Sumińską..

— Nie chciał wcale słyszeć o naszych propozycyach — przerwała ciocia Pstrzykalska — *ma's vous avouerez ma chère*, że między tą Salcią a moją Klimcią jest pewna różnica.

— Nie przeczę — odparła p. Ptaszyńska uśmiechając się złośliwie — bo Klimcia ma 130,000 *eu moins,* — i zwracając się do p. Ratatyńskiej dodała półgłosem — *ceux trente mille en moins, et les humeurs froides en plus,* nieprawdaż, że to wielka różnica!...

— *Ma chère* — zawołała ciocia Pstrzykalska — *vous êtes...*

— Ależ na miłość boską kochane kuzynki pogódźcie się, pogódźcie — począł dobrodusznie uspokajać Ratatyński, rad wielce że mu w p. Ptaszyńskiej przybył sprzymierzeniec niespodziewany.—W sposób taki nie dójdziemy nigdy do celu. Tu nie chodzi wcale o pannę Klementynę, której mojem zdaniem poeta taki jak Władzio nie potrafiłby uszczęśliwić; tu chodzi tylko o to, co zrobić z tą nieszczęśliwą Suchowolą, której ani podzielić, ani sprzedać nie można. Co do mnie, to Bóg mi świadkiem, że się do niej nie palę, słowo uczciwości państwu daję że nie. Ale co z tym fantem zrobić wobec tego, że trudno człowieka takiego jak Władysław zaprzęgać do podobnego pługa. Tamby panie potrzeba rzutkości, praktyczności, energii, ciągłego użerania się i harowania; pytam więc Państwa, czy godzi się Władzia narażać na coś podobnego? Co do mnie to przyznam się kuzynkom, że znając niepraktyczność mego kochanego szwagierka, nie mógłbym się w żadne zapuszczać eksperymenta, lecz owszem jako ojciec dzieciom musiałbym, w razie gdyby się Suchowola miała dostać Władysławowi, żądać natychmiastowej wypłaty schedy, która mej żonie przypada.

— Ależ nie ma o czem mówić kochany Marceli — odparła z żywością p. Ptaszyńska — rozumie się samo przez się, że Suchowoli nie może objąć kto inny tylko ty. Nie wątpię wcale, że przy twej rzutkości i obrotności potrafisz wkrótce uporządkować tamtejsze interesa. Z drugiej strony polegam zupełnie na znanej twej zacności, i sądzę że Władysław zrobi najlepiej jeżeli się zupełnie zda na twoję opiekę.

Ratatyński widząc że ma większość głosów po sobie, zaczął się zżymać i rzucać, wzywając wszystkie niebieskie i piekielne potęgi na świadectwo, że mimo całej swej przyjaźni dla Szklannego Władysława nie może przyjąć na barki swoje kłopotów z objęciem Suchowoli połączonych. Coraz bardziej jednakże przez p. Ptaszyńską napierany, począł powoli słabnąć w swoim oporze, aż w końcu wzdychając, i ocierając ręką oczy z łez, których tam nigdy nie było, zdecydował się objąć Suchowolę i poświęcić się raz jeszcze dla tego kochanego, ale tak okropnie niepraktycznego Władysława. P. Ptaszyńska z swej strony zobowiązała się skłonić szklannego człowieka, aby zadowalniając się na razie wypłatą 6 000 złr. pozostawił resztę swej schedy tytułem sześcioprocentowej pożyczki na hipotece dóbr Starowoli obowiązując się ustąpić prawo tabularnego pierwszeństwa dla innych pożyczek, ewentualnie zaciągnąć się mających. Na tej decyzyi zakończyła się ta konferencya. We dwa tygodnie po tym pamiętnym dniu wszedł Ratatyński do tabuli jako właściciel dóbr Suchowoli wraz z przyległościami, wypłaciwszy *rubis sur l'ongle* 20.000 magistratowi w Czerniowcach, a 6000 złr. swemu szwagrowi, co mu tem łatwiej przyszło, ile że, jak się później przekonałem, miał już w chwili dopiero co opowiedzianej konferencyi, spisane punkta przedugodne kontraktu sprzedaży lasu w swojej kieszeni.

Ne trouvez-Vous pas mon cher, że ten Szklanny Władysław jest *un petit héros de roman?* Około niego i z jego powodu krzyżują się i ścierają z sobą ludzkie namiętności; otoczenie jego radzi o nim bez niego i decyduje o jego losach, podczas gdy on sam zamyka się w swym szklannym kwietyzmie, rąd z tego wielce, że inni za niego myślą i działają w jego imieniu. W miarę jak nie tworząc nic, nic nie upiększając ani też nie karykaturując, opowiadam jego losy, zarysowują się coraz wyraźniej postacie jego otoczenia, podczas gdy on sam popychany ciągle falami otaczających go namiętności, zstępuje coraz bardziej na drugi plan, i przesuwa się przez moje opowiadanie „jako duch jasny i bezkolorowy“, nie występując prawie wcale z stanu legendy. Mimo to wmyśl się pan dobrze w postać tę, a ujrzysz pan, że to jest typ rzeczywisty, iluż bowiem pomiędzy nami takich Władysławów, dla których myślenie i działanie jest tak wielkim trudem, iż raczej aniżeli się mu poddać, wolą stać się igraszką w ręku każdego ktory się za nich trudu tego podejmie? Więcej nawet powiem: rzuć pan okiem na dzieje naszego narodu, a przynajmniej na porozbiorową część tych dziejów, a ujrzysz pan, że typ Szklannego Człowieka jest niejako naszym królem-duchem, królem-duchem sprowadzonym do właściwego prozaicznego mianownika. (C. d. n.)

O RZEŹBIE.

Odczyt

OTTONA HAUSNERA.

(*Dokończenie*).

Zwracając się teraz do Polski, niepodobna zaprzeczyć, że ona dotąd jednego tylko wydała rzeźbiarza, który na szali ogólnych dziejów sztuki zaważył: Wita Stwosza. Ale i tego jednego starano się nam wydrzeć i nie bez pozoru słuszności.

Wprawdzie urodził on się w Krakowie, lecz z rodziców pochodzących z Bardyowa w Spiżu, wprawdzie najokazalsze swe utwory w Polsce wypracował i niemi Polskę ozdobił, ale całym duchem pomysłów, najdrobniejszemi szczegółami wykonania należy do szkoły frankońskiej, ostatnie 38 lat swego długiego życia przepędził w Norymberdze, tam się ożenił i obywatelstwo uzyskał i ztamtąd nie wydalił się nawet po doznanej okropnej krzywdzie i hańbie. Jego syn Stanisław tam pracował i pozostał, tam są Stwosza uczniowie z nazwiska znani, podczas gdy

*

u nas pomimo wytężonych poszukiwań tak skrzętnych badaczy, jak Grabowski i Łepkowski ani jednego nie wykryto. Co więcej, jego nazwisko u nas w niepamięć poszło i dopiero w naszym wieku badania wymienionych uczonych i Rastawieckiego, tudzież poemat Pola uczyniły nazwisko Stwosza znanem i popularnem między nami. Lecz my, aczkolwiek przyznając, że przylgnął duszą i ciałem do szkoły niemieckiej i nie potrafił utworzyć odrębnej szkoły polskiej, winniśmy hołd i uwielbienie mistrzowi, którego arcydzieła, w harmonijnem złączeniu ze świątyniami, w których są umieszczone, tworzą najdoskonalszy skarb artystyczny grodu podwawelskiego i całej Polski. Najbardziej wykończonem i największem w rozmiarach dziełem Stwosza, oraz najznakomitszym zabytkiem plastyki w całej Polsce jest cały ołtarz Najświętszej Panny Maryi w Krakowie przedstawiający uśnięcie, wniebowzięcie i ukoronowanie Bogarodzicy w posągach, wypukło, i płaskorzeźbach pod ogromnym ostrołukiem, z którego promienie słoneczne spadają na grupy pełne namaszczenia i mistycznej słodyczy. Głowy apostołów silnie scharakteryzowane, draperya dziwnej lekkości, Bogarodzica zaś, siedem razy powtórzona, ma rysy indywidualne, ziemskie, jakie często w obrazach szwabskiej lub frankońskiej szkoły spotykamy.

Trzy dalsze utwory zapewniające Stwoszowi nieśmiertelność są: Grobowiec Kazimierza Jagiellończyka na Wawelu, Tryptyk z Narodzeniem Pańskiem w Bardyowie i Pozdrowienie anielskie u Św. Wawrzyńca w Norymberdze.

Będę się teraz starał, dać krótki przegląd tego, co prócz prac Stwosza w Polsce w rzeźbach polskiego dłuta posiadamy. Najdawniejsze zabytki sięgają 13go wieku. Są to: Nagrobek księcia Władysława Kaliskiego u Franciszkanów w Krakowie, pomnik Leszka Czarnego u Dominikanów tamże, grób Adelaidy w kościele Św, Jakóba w Sandomierzu i nagrobek Grzymisławy u Franciszkanów w Zawichoście. Są to nieforemne, martwe płaskorzeźby z kamienia, zaledwie dorównywające ówczesnym pracom niemieckim.

Z późniejszego okresu gotyki, to jest z 14go i 15go wieku mamy przedewszystkiem wspaniały grobowiec Kazimierza Wielkiego na Wawelu, z końca 14go wieku, który całą budową, szczegółami układu i wykonaniem równie imponuje, jednak twórca jego jest nieznany. Pomnik Władysława Łokietka na Wawelu, grobowiec Piotra Bnińskiego w Włocławku, pomniki Rafała i Anny Tarnowskich w kośc. paraf. w Przeworsku, grobowce ostatnich książąt mazowieckich w katedrze warszawskiej, grobowiec Giżyckiego w Pułtusku, mianowicie zaś płaskorzeźba z mosiądzu na grobie Kallimacha u Dominikanów w Krakowie, są to cenne i charakterystyczne okazy sztuki tych wieków.

Na początku 16go wieku grobowce zachowują jeszcze zawsze budowę ostrołukową, tak piękny pomnik z mosiądzu kardynała Frydryka Jagiellończyka, na Wawelu, prawdopodobnie przez Jana Czecha odlany (1510) i nagrobek z brązową płaskorzeźbą Strelicy w katedrze warszawskiej (1532). Później już styl odrodzenia coraz bardziej się przebija. W tym stylu są wykonane: wzniosły grobowiec Władysława Jagiełły z r. 1525 i posąg leżący Gamrata (1547) na Wawelu, grobowiec Bonarów ze stojącemi brązowemi figurami u Św. Maryi w Krakowie, (1538) płaskorzeźba pomnika Powodowskiego w katedrze Poznańskiej (1585) grobowiec alabastrowy Ligęzy w Bieczu i grobowiec Krzyckiego w katedrze gnieźnieńskiej. W całym tym wieku spotykamy tylko jedne nazwisko polskiego rzeźbiarza: Pawła Baltazara z Wadowic, miernego twórcy nagrobka Spytka Jordana ze sztywnemi aniołami u Św. Katarzyny w Krakowie. [1])

Wiek 17ty, w którym styl Odrodzenia wszędzie uległ nieszczęsnym wybrykom manierystów jeszcze więcej od poprzedniego przewagę dzieł obcego dłuta wykazuje. Tylko cztery znaczniejsze rzeźby: Spiżowy pomnik hetmana Stefana Czarnieckiego w Czarnikowie przez Wa lentego Kintera z Poznania, posąg Zygmunta IIIgo na kolumnie w Warszawie, odlany przez Daniela Thyma, jednak podług modelu Klemensa Moli, Włocha, nagrobek brązowy Danigela u u św. Maryi w Krakowie i płaskorzeźba bitwy Chocimskiej w Nowogródku są niewątpliwie polskie utwory [2]). Przeciwnie wspaniałe grobowce i Posągi Jakóba Sobieskiego, Stanisława i Jana Żółkiewskich i Stanis. Daniłowicza w Żółkwi, Grobowiec Janusza Ostrogskiego w Tarnowie (przez Gian Maria Padovano), elegancki pomnik muzyka Pacillo w katedrze warszawskiej, Grobowce Jana Sobieskiego i Michała Korybuta na Wawelu, posągi 12 apostołów przed kościołem Św, Piotra w Krakowie (przez Girolamo Canavesi), groby Sapiehów w Olszanach, Radziwiłłów w kolegiacie w Otyce, Krasińskich w Krasnymstawie, posągi świętych i płaskorzeźby w Podhorcach, nagrobek Ossolińskiego u Św. Jacka w Warszawie, grobowiec z rosso antico Nawojowskiego w Nawojowej i pomnik Jerzego Lubomirskiego w kościele w Krzeszowicach są włoskiej roboty.

Z wieku 18ego, w którym wszędzie zły smak w rzeźbie doszedł do ostatnich krańców, mamy w Polsce dość liczne, ale mało pocieszające pamiątki. Kamienny posąg konny Jana Sobieskiego w Łazienkach, przez Franciszka Pinck, jest istną karykaturą wielkiego wojownika Mały sztywny, nędznie rysowany, z lalką przedstawiającą Turka pod kopytami konia o drewnianych ruchach, dla tego tylko, mojem zdaniem, nie został przed rząd rossyjski zabrany lub zburzony, bo w tym Manekinie w rzymskim stroju raczej paszkwil niż pomnik chwały dla sławnego pogromcy Turków upatrzono. Lepsze i o wspanialszych rozmiarach są grobowce Radziejowskiego i Szembeka w katedrze gnieźnieńskiej, posąg stojący Andrzeja Załuskiego, i nagrobki Szaniawskiego i biskupa Sołtyka na Wawelu posągi Św. Piotra i Pawła u Św. Krzyża w Warszawie Jana Plersza i grobowiec Klemensa Branickiego a Reformatów w Tykocinie [3]). Okazałe grobowce Maryi i Karoliny Sobieskich u Św. Kazimierza i pomnik Tarły i Mauzoleum prymasa Radziejowskiego u Świętego Krzyża w Warszawie, tudzież Cimboryum z płaskorzeźbami u Najśw. Maryi w Krakowie (przez Baldassau Fontana i 4 Ewangieliści u Św. Anny w Warszawie (przez Jacopo Monaldi).

Nakoniec i w naszym wieku 19tym najokazalsze pomniki naszego kraju wyszły z pod dłuta obcego. I tak posąg konny ks. Józefa Poniatowskiego, posąg Kopernika w Warszawie, posąg stojący idealizowany Włodzimierza Potockiego i Chrystus na grobie hr. Artura Potockiego w katedrze Wawelskiej są Thorwaldsena, nagrobek Rozalii Borkowskiej u Dominikanów we Lwowie szkoły Canovy, pomnik Skotnickiego na Wawelu Stefana Ricci, nagrobek Zygmunta Krasińskiego [1]) Teneraniego, pomnik Małachowskiego w katedrze Warszawskiej Laboureura, grobowiec księżnej Natalii Sanguszko na Wawelu z leżącą postacią i modlącem się dzieckiem Taddoliniego i Pisaniego, posągi Mieczysława I. i Bolesława I. w katedrze Poznańskiej Raucha.

W miejscach, publiczności przystępnych w Polsce znajdujemy ledwie 4 utwory znakomitsze dłuta polskiego 19go wieku. Do tych zaliczamy, jako najpiękniejsze: Chrystus z krzyża zdjęty i Anioł zmartwychwstania u Karmelitów w Warszawie, oraz posąg Tadeusza Czackiego u Wizytek tamże. Twórcą tych rzeźb jest *Oskar Sosnowski*, uczeń Teneraniego bez wielkiej oryginalności pomysłów, lecz sumiennie zachowujący czystość form i uczucie religijne mistrza, dalej posąg Mickiewicza w Poznaniu i pomnik generała Skrzyneckiego u Dominikanów w Krakowie[2]) *Władysława Oleszczyńskiego*, ucznia Dawida d'Angers, cokolwiek niespokojnego w ruchach i draperyi. Dodając do tych dwóch *Wiktora Brodzkiego*, [3]) ucznia akademii Petersburskiej, potem w Rzymie wykształconego, wymieniłem wszystkich rzeźbiarzy polskich 19go wieku, którzy dotąd na trwałą pamięć zasłużyli.

Dla dokładności jednak wspomnę jeszcze o rzeźbiarzach Warszawskich: *Jakóbie Tatarkiewiczu* [4]), *Ludwiku Kaufmanie* [5]), *Pawle Malińskim*[6]), *Konstantym Heglu* [7]), *Ludwiku Kucharzewskim* [8]), *Andrzeju Pruszyńskim* [9]), *Leonardzie Marconim* [10]), *Sławomirze Celińskim* [11]), *Welońskim* [12]), *Syrewiczu* i *Święcickim*, nareszcie o *Tadeuszu Czajkowskim* [13])

---

[1]) Grobowce i posągi z czerwonego marmuru Zygmunta Igo i Zygmunta Augusta, pomnik Stefana Batorego z półleżącą postacią (także przez Santa Guzzi), posąg wojewody Kmity na Wawelu i pomniki hetmana Jana i Krzysztofa Tarnowskich w Tarnowie są włoskiej roboty. Wątpliwego pochodzenia są nagrobki z alabasrtowemi posągami leżącemi Jana Tarnowskiego i Jana Zamojskiego w katedrze lwowskiej.

[2]) Posągi hetmana Stan. Jabłonowskiego i archanioła Michała na Wałach, pomnik Wyżyckiego u Bernardynów i nagrobki Jabłonowskich u Jezuitów, pochodzące z 17go wieku, są bez wartości artystycznej.

[3]) Nagrobek Św. Jana Kantego u Św. Anny w Krakowie przez Jana Liszkiewicza jest bez wartości artystycznej.

---

[1]) I Anioł zmartwychwstania na grobie Jaroszyńskiego na Wołyniu jest Teneraniego.

[2]) Może tu zaliczyć można i pomnik Brodzińskiego u Wizytek w Warszawie.

[3]) Ucieczka z Pompei. Miłość i niewinność. Spiący Kupido. Adonis z psem.

[4]) Najlepsze jego utwory są: Grobowiec Piotrowskiego na cmentarzu powązkowskim i posąg Stan. Potockiego w Wilanowie.

[5]) Uczeń Canovy. Najlepsze dzieła: Płaskorzeźba Flaminiusza w Koryncie w pałacu Pala i pomnik Sobieskiego u Kapucynów w Warszawie.

[6]) Płaskorzeźba: Powrót Edypa z igrzysk Olimpijskich na wielkim teatrze w Warszawie i grobowiec Janickiego na cmentarzu powązkowskim.

[7]) Kazalnica z 12 Apostołami w katedrze śś. Jan Nepomuk i Feliks, w kośc. Przemienienia w Warszawie.

[8]) Posąg Śniadeckiego. Męczennica w katakumbach.

[9]) Chrystus niosący krzyż, u św. Krzyża w Warszawie. Św. Sebastyan.

[10]) Pracujący obecnie we Lwowie: Pomnik Chrzanowskiej w Trembowli. Grobowiec Chopina u św. Krzyża w Warszawie. Grupa alegoryczna na frontonie techniki we Lwowie.

[11]) Giermek obcinający sobie nogę, w Krakowie.

[12]) Grobowiec Malczewskiego w Warszawie.

[13]) Posągi Najświętszej Panny przed św. Duchem i przed kośc. Narodzenia. Umarł w r. 1867.

i *T. Cenglerze* [1]), nadmienię rzeźbiarzy Krakowskich *Henryka Stattlera* [2]), *Gujskiego*, *S. Trembeckiego* [3]) i *Stanisława Lipińskiego* [4]). Jeżeli dodam, że *Cypryanowi Godebskiemu* prace lat ostatnich, mianowicie nagrobek Teofila Gautier i popiersie: Nienawiść, zjednały imię dość głośne [5]), że talent Litwina *Antokolskiego* [6]) zdawał się Rosyanom dość znaczny, aby go z narodowości polskiej chcieć wyzuć i sobie anektować. Jeżeli wspomnę o dwóch rzeźbiarzach przedwczesną i gwałtowną śmiercią sztuce wydartych: o *hrab. Ireneuszu Załuskim* [7]) i *Parysie Filippim* [8]), o bardzo udanych próbach rzeźbiarskich naszego poety *Teofila Lenartowicza* [9]), jeżeli ostatecznie wskażę na talent rokujący piękne nadzieje naszego młodego ziomka *Tadeusza Barącza* [10]), sądzę, że nie opuściłem żadnego artysty [11]) cechującego w jakikolwiek sposób dzieje przedwstępne rzeźby polskiej.

Streszczając me przemówienie zaznaczam, że pomimo licznych przeszkód, tkwiących w charakterze rozwoju społecznego i ekonomicznego naszych czasów, w których prawie tylko rząd i bogaci spadkobiercy udają się do rzeźbiarza, i gdzie rozpanoszenie się rzemiosła tapicerskiego i stolarskiego ze swemi pretensyami estetycznemi wyrugowało prawdziwe dzieła sztuki z pałaców wielkich panów i ze salonów milionerów, że pomimo tych przeszkód rzeźbiarstwo nie upada, że przeciwnie poziom wartości utworów raczej się podnosi, że Włochy są zawsze w posiadaniu największej biegłości technicznej i ujęli z siłą i wdziękiem objawy życia umysłowego i zewnętrznego dzisiejszego w karby rzeźby, że zaś we Francyi rozpoczął się pochód sił młodocianych ku wyżynom ideału, że nareszcie u nas kiełkuje dopiero ziarno, zwiastujące przyszły rozwój tej sztuki. Zkąd czerpię moję otuchę w przyszłość rzeźby w kraju, w którym nie ma kopalń Carrary lub Pentelica, w którego przeważnej części nie wolno stawiać pomnika czci wielkim przywódzcom i wieszczom narodu, w którym wzory plastyczne nie tak obficie spotykasz, jak pod włoskiem niebem i w którym mecenasa z wspaniałą zachętą i szczodrem zamówieniem ledwie jednego w całej generacyi znaleźć można, zkąd czerpią tę otuchę, już wskazałem: z dziejów porozbiorowych naszych, które dowodzą, że pod powierzchnią rozkawałkowaną i lodem pokrytą ciągle gore ogień twórczy, żywotny narodu. Niech konferencye i meetingi, troszczące się o przyszłość Bułgarów i Bośniaków uważają wzmiankę o Polsce za grzech śmiertelny, niech wysłannicy nasi milczą w chwili i na miejscu, gdzie może ich powołaniem było, przemawiać za nami, to szczególne przymierze zapomnienia i rezygnacyi nie przerwie bezustannej, podziemnej pracy umysłów, nie wstrzyma nowego wybuchu tej żyznej lawy, z której popiołów wyrastają bujne krzewy, wonne kwiaty i słodkie owoce. Wtedy okaże się może między nami, bez przygotowania i nauczyciela mistrz form plastycznych, jak bez przygotowania i nauczyciela stanęli mistrzowie słowa, dźwięku i barwy: Mickiewicz, Szopen i Matejko.

Koniec.

---

[1]) Śś. Stanisław i Jan Nepomuk w kośc. św. Stanisława.

[2]) Grobowiec Czartoryskich. Ecce Homo w Wilanowie. Matka Boska.

[3]) Dziewczę z wieńcem.

[4]) Abundantia.

[5]) Dawniejsze prace Godebskiego są: posągi wodzów austryackich w domu inwalidów i nagrobek Borzęckiej na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. Grobowiec mego ojca Karola Hausnera w Brodach (obelisk na sarkofagu z Aniołem zmartwychwstania i popiersiem marmurowem).

[6]) Sokrates.

[7]) Popiersie cesarzowej Elżbiety i księżnej Sanguszko.

[8]) Pomnik generała Dwernickiego u Karmelitów i nagrobek Pilata u Bernardynów we Lwowie.

[9]) Głowa św. Jana Chrzciciela.

[10]) Posągi: Śniadeckiego, Mickiewicza, Czackiego na facyacie gimnazyum Franciszka Józefa we Lwowie.

[11]) Jako świadectwo upadku rzeźbiarstwa, służyć może nędzny pomnik Kopernika z cynową Uranią u św. Anny w Krakowie, „popełniony“ w r. 1823 przez Antoniego Arkusińskiego.

OBIAD SKŁADKOWY.

Humoreska

przez

JÓZEFA BLIZIŃSKIEGO.

— Panowie, ja proponuję głosowanie...

— Po djabła głosowanie; projekt przeszedł przez aklamacyą!

— Nie mówię o samym projekcie, ale o składce, na którą się nie zgadzam.

— Co do składki, ja mam zrobić poprawkę.

— Pan Feliks ma głos jako oponent!

— Dobrze! ale po nim, ja.

— Zgoda! po panu Feliksie, pan Paweł wystąpi z poprawką.

— Więc słuchamy pana Feliksa.

Pan Feliks odchrząknął, i począł mówić:

— Panowie! przedewszystkiem nie łudźmy się! Obiad, panie dobrodzieju, z winem, po 2 reńskie od osoby, jest, uważacie mrzonką, której urzeczywistnienie leży po za obrębem...

— Za pozwoleniem! jeżeli co, to mocya pana Feliksa zdająca się dążyć do podwyższenia składki, leży po za obrębem możności naszych kieszeni..

— Brawo! brawo!

— Proszę o głos! — zawołał pan Paweł— do mnie należy dokończyć słów szanownego preopinanta, ponieważ właśnie kwestya niepodwyższania, a nawet jeżeliby się dało zmniejszenia składki, miała być celem mojej poprawki.

— Przepraszam! nie skończyłem! jeżelim, uważacie, powiedział: nie łudźmy się! to byłem w stanie, panie dobrodzieju, poprzeć to dowodami.

— A ja powiadam, że jeżeli chodzi o dowody, to przekonam, że nie tylko za dwa reńskie, ale za reńskiego najem się do syta i napiję.

— Tak! u Eberlejna, na kiełbaskach!

— Najprzód, wyjeżdżanie panie dobrodzieju z Eberlejnem i kiełbaskami, uważam jako będące po za obrębem...

— Panowie! ja proszę o głos — odezwał się pan Aleksander — rozprawiacie bez żadnego ładu i systematu, a przedewszystkiem należy postawić jasno każdą kwestyą; i tak, pierwszą było, czy wypada nam uczcić Karola, translokowanego przez nasz zarząd...

— Wypada! wypada!

— Ośmielam się w tem miejscu przerwać mowę szanownego preopinanta i zwrócić uwagę, że zamiast rozjaśnić, zaciemnia kwestyą. Uczczenie Karola obiadem składkowym było jednomyślnie postanowione, i skutkiem tego postanowienia, zebraliśmy się tu dla roztrząsania...

– Proszę o przywołanie pana Pawła do porządku!

— Prawda! prawda! niech naprzód skończy pan Aleksander.

Z wielkim trudem, po mnogich sykaniach, zaprowadzano ład, i pan Aleksander kończył:

— Więc tedy, ponieważ co do uczczenia Karola obiadem nastąpiła jednomyślność, pozostają dalsze kwestye: *primo*, wysokość składki...

— Dwa reńskie!

— Za mało panie dobrodzieju!

— Aż nadto!

— Za pozwoleniem! należy uwzględnić i pogodzić dwie konieczności: pierwszą jest wydanie obiadu, drugą oszczędność, którą nakazuje stan kieszeniowy większości.

— Co do drugiego punktu, ośmielę się zwrócić uwagę, że kto panie dobrodzieju może dać dwa reńskie, nie zrobi mu różnicy dodać trzeci!

— To prawda!

— Niekoniecznie!

— Komu zaś to ma przyjść z trudnością, uważacie, może się wycofać.

Nastąpiła chwila milczenia, z której korzystając poprzedni mowca p. Aleksander, ciągnął dalej:

— Zatem proponuję, aby zamiast dwóch, ustanowić składkę na trzy reńskie; za tę cenę można mieć obiad z winem, wódką i przekąskami.

— A ryby, panie dobrodzieju?

— Będą i ryby, ja to biorę na siebie.

— Zwracam uwagę szanownego preopinanta, że mówiąc o winie, miał na myśli zapewne tylko czerwone i stołowe białe; pozostaje więc, *primo*: piwo, bez którego się nie obejdzie...

— To mała rzecz, będzie i piwo.

— *Secundo*: wino białe, ale nie to, o którem była mowa. Ma to być obiad uroczysty; podczas obiadu uroczystego z samej natury rzeczy będą toasty, a toasty bez wina szampańskiego, są nonsensem.

— Fiu! fiu! u was zawsze szumowiny w głowie.

— Tamten ma racyą, panie dobrodzieju; szampan jest konieczny, że jednak, uważacie, kwestya jego leży po za obrębem...

— Za obrębem czego?

— Pierwotnego planu, a zatem proponuję składkę dodatkową.

— Czyli, powiedzmy od razu, mamy dać po sześć reńskich.

— Nie koniecznie; ustanówmy składkę na trzy, a jeżeli się okaże potrzeba wina szampańskiego...

— Naturalnie, że się okaże, panie dobrodzieju...

— Więc wnoszę, ażeby promotorowie tej idei zebrali pomiędzy sobą składkę dodatkową.

— Nie uchylam się, panie dobrodzieju...

— Proszę o głos! ponieważ nie chodzi mi o żołądek, ani podniebienie, tylko o dowód uznania dla Karola, zatem przystaję na minimum składki uchwalone przez ogół, a od składania dodatku uchylam się, dając uroczyste słowo, że szampana nie powącham.

— A czemże spełnisz toast?

— Czystą wodą, i ręczę że Karol przyjmie go tak samo jak wasze.

Po tem wzniosłem przemówieniu p. Pawła, znowu nastała mała pauza, z której jak poprzednio skorzystał p. Aleksander:

— Widząc — rzekł — że moja propozycya ustanowienia składki na trzy reńskie z dodatkami od niektórych, zyskała ogólną aprobacyą, więc...

— Za pozwoleniem! robię mały dodatek: ja jestem za zasadą, i działam z zasady — zaiste nie zrujnowałby mnie wydatek kilku reńskich, ale zbytku propagować nie myślę; zasadą moją oszczędność, więc za zasadę proponuję, aby już nie powiększać składki i z pojedynczemi wybrykami, jeżeli jakie będą, nie solidaryzować.

— Brawo, pan Paweł! brawo!

— Zwracam uwagę, że dodatek pana Pawła był niepotrzebny, ponieważ ja to samo miałem powiedzieć, a nawet powiedziałem, — rzekł pan Aleksander.

— Zatem zgoda! zgoda!

Zebrano podpisy, ograniczono składkę do trzech reńskich, pozostawiając każdemu indywidualną swobodę na wybryki, pod któremi rozumiano szampana — ogół wszakże zrzekł się solidarności z takowemi, czyli inaczej, mógł wypić jako przymuszony, ale płacić nie był obowiązany.

Składka złożoną została na ręce p. Pawła, jako najoszczędniejszego, i jemu powierzono gospodarstwo, a obiad postanowiono za trzy dni, na godzinę czwartą.

Gdy wszystko było załatwone, p. Feliks wystąpił jeszcze z dodatkiem:

— Panowie! — rzekł — obiadem tym, uważacie, chcemy uczcić Karola i jego użyteczną panie dobrodzieju działalność w naszem kółku — inaczej, chcemy mu zrobić przyjemność czyli niespodziankę. Otóż, uważacie, niespodzianka niebyłaby niespodzianką, gdyby była spodziewaną; niechże więc, panie dobrodzieju, solenizant nic nie wie o naszym zamiarze. Proponuję, żeby pary z ust o tem nie wypuścić, i zachować, uważacie, do ostatniej chwili, najgłębszą tajemnicę.

— Zgoda! zgoda! dobra myśl!

. . . .

W trzy dni po owem posiedzeniu, o godzinie czwartej jak było umowione, w sali jednej z lepszych restauracyj, zebrało się całe grono; składało je dwadzieścia kilka osób.

Większość przysposobioną była należycie do tak ważnej czynności, jaką był obiad składkowy z winem, czyli mówiąc króciej a jaśniej, była na czczo — dla tego niewielki stolik stojący na oboczu, a zastawiony flaszkami z wódką i za kąskami rozmaitego rodzaju, był punktem, na który głównie zwracała się uwaga owej większości. Ale cóż ztąd, kiedy pomimo całej gotowości, nie wypadało przypuścić doń szturmu, dopóki nie przybędzie solenizant, — a jak na złość nie było go widać.

Większa część zebranych zaczęła spoglądać na zegarki, a p. Paweł, gospodarz i promotor oszczędności, a zatem nic w ustach od rana nie mający, oprócz kilku szklanek herbaty z cytryną, ustawicznie rachował palcami obecnych, zaczynając za każdym razem od innej strony, miał bowiem wątpliwość czy się nie omylił, i czy solenizanta nie ma gdzie w tłumie.

Wybiło pół do piątej, solenizanta ani oko.

Kilku z niecierpliwionych poszło do bufetu, *extra* składki, za gotowy grosz wydobyty z nosigroszów, wypiło po kieliszku wódki i przejadło coś na prędce, byle zaspokoić apetyt.

O trzy kwandranse na piątą, liczba niecierpliwych posilających się na stronie urosła w dwójnasób.

Nareszcie wybiła piąta!

Towarzystwo nie wiedziało, co o tem myśleć; jedni zachowywali ponure milczenie, drudzy klęli, inni wreszcie zapuszczali się w najniepodobniejsze hypotezy, gdy nagle wśród gwaru dał się słyszeć dobitny głos:

— Panowie!

Odezwanie się to zrobiło pewne wrażenie, był to bowiem głos pana Piotra. Pan Piotr znanym był z swojej małomówności; w towarzystwie siedział zazwyczaj milczący, jakby mu gębę zamurowano; wprawdzie przy stole nie zamykała mu się, ale to nie czyniło go bynajmniej wymowniejszym.

Za to, gdy się odezwał, słowa jego warte były miliony; długo myśląc, miał czas przetrawić w sobie zdanie, było ono więc niezbite; nieubłagana logika nadawała jego słowom wagę nieocenioną. Więc też gdy wymówił: „Panowie!“ wszyscy zwrócili na niego uwagę, będąc przekonanymi, że głos pana Piotra rozstrzygnie kwestyą.

— Panowie! — rzekł tedy pan Piotr — wszak daliśmy sobie słowo, że zamiar uczczenia obiadem Karola, zachowamy przed nim w tajemnicy, aby mu zrobić niespodziankę. Czy przypadkiem nie wygadał się kto przed nim?

— Ja nie!

— Ani ja! ani ja!

— Bardzo dobrze. Ale koniec końcem trzeba go było uwiadomić; ośmielę się zapytać, kto z panów to zrobił?

Nastało ogólne milczenie.

— Nikt mu nie dał znać? Pozwolę sobie wyprowadzić ztąd wniosek, że wcale nie przybędzie.

Prawda ma to do siebie, że jasnością swoją olśniewa i zdobywa uznanie bez oporu.

Było rzeczą widoczną, że pan Piotr miał racyą; pana Karola nie było się co spodziewać — ale co robić? obiad był gotów, składka złożona.

Ktoś zaproponował, żeby wysłać do niego deputacyą; wniosek przyjęto przez aklamacyą, ale okazała się trudność znalezienia deputata, każdy uchylał się od tego honoru, nie chcąc opuszczać stołu, i najrozmaitsze zdania dały się słyszeć.

Aż nareszcie pan Feliks zawołał:

— Uważacie, panie dobrodzieju, ja stawiam wniosek, aby przedewszystkiem, dla nabrania sił do dalszej dyskusyi, skonsumować to, co zastawione na tym stole; jeżeli solenizant przybędzie każemy podać inne zakąski.

Wniosek był tak trafny, że odbył się najzupełniej bez głosowania i ku wielkiemu zmartwieniu oszczędnego pana Pawła w mgnieniu oka zmieciono wszystko ze stolika

Wtenczas dopiero ktoś z wytrzymalszych ofiarował się na deputata, zawarowawszy sobie jednak najmocniej, aby zaczekano nań z obiadem.

. . . .

W dziesięć minut powrócił, ale sam.

Pan Karol nie mógł przybyć dla tej prostej przyczyny, że nie wiedząc o niczem, przyspieszył dzień wyjazdu i opuścił Lwów przed dwiema godzinami.

. . . .

Obiad musiał się odbyć bez solenizanta.

Po kilku kieliszkach wina, gdy serca się rozgrzały i zaczęły wychodzić na usta, pan Feliks powstawszy, zagaił rzecz, jak następuje:

— Panowie! mamy tu w naszem gronie, panie dobrodzieju, osobistość, która nam dała wielki przykład! Osobistością tą jest autor projektu niesolidaryzowania się z wybrykami jednostek, mąż, z ktorym miałem zaszczyt polemizować na poprzedniem zebraniu, i być przezeń, panie dobrodzieju pobitym, słowem, nasz obecny gospodarz, pan Paweł.

W tem miejscu pan Paweł czuł się obowiązanym powstać, co uczynił z całą skromnością.

— Różniłem się z nim w zdaniu — mówił dalej pan Feliks — albowiem jestem, uważacie, człowiek nie mający wyobrażenia o oszczędności — bądź co bądź, przyznaję tej cnocie, panie dobrodzieju, wielką doniosłość! Oszczędnością stoją społeczeństwa! oszczędność jest dźwignią olbrzymich rezultatów! niech mi się więc godzi, panie dobrodzieju, zaproponować wniesienie na pierwszem miejscu zdrowia jej promotora, szanownego pana Pawła!

— Niech żyje! — zawołali wszyscy powstając.

— Za pozwoleniem! — ciągnął dalej mówca trzymając w jednej ręce butelkę czerwonego, w drugiej węgierskiego stołowego — mamyż, panie dobrodzieju, spełnić tak szanowne zdrowie tym atramentem albo prostą deszczówką?

— Brawo! brawo!

— Proponuję więc. .

Ale nie skończył, bo mu przerwał p. Paweł.

W cóż się obróciły zasady tego męża i jego projekta oszczędności? Pod wpływem pochlebnych słów pana Feliksa, stajały jak śnieg na wiosennem słońcu; przerwał mu więc z pobłażliwym uśmiechem i skinąwszy na służbę, zawołał:

— Szampana!

. . . .

Obiad skończył się o ósmej. Gdy przyszło do obrachunku, wypadło na każdego współbiesiadnika złr. 9 ct. 50 składki; ale też z ogólnej sumy dano służbie kilka złr., oraz opłacono telegram do Karola, którego zdrowie pito aż trzy razy wśród ogólnego rozczulenia.

POWSTANIE POLSKIE
nad
BAJKAŁEM.

Z pamiętników naocznego świadka Z. O.

(Ciąg dalszy.)

Scena powyższa zaledwie kilkanaście minut trwająca była zakończeniem ostatnich nieudałych powstańczych wysileń.

Szaramowicz ze szczupłą ocalałą garstką, nie mógł już złożyć żadnej całości, którąby się oddziałem nazywać mogła. Rozsypała się przeto ta garstka po puszczach leśnych, szukając odtąd, każdy na swoją rękę ocalenia lub śmierci! Szaramowicz z kilkonastoma zwrócił się bezwiednie na wschód od Bajkału a postępując naprzód byle tylko dalej od miejsc krwią zbroczonych prawie w szaleństwie powtarzał z towarzyszami okrzyk „Niech żyje Polska“ który ułatwił Pankowskiemu i Popławskiemu złączenie się z rozbitkami. Okrzyki Szaramowicza i jego towarzyszy dochodziły do Moskali zmieszanych w szeregach. Major Rick, wziął je za nowe hasło do napadów powstańczych, kazał dać znak do zebrania i nie narażając się na niepewną walkę zaczął się z wojskiem cofać ku Miszyszysze. Tak więc skończyła się walka obustronnem cofnięciem, a zwycięstwo byłoby niemal zapewnionem powstańcom, gdyby Celiński niebył uprowadził stu ludzi najlepiej uzbrojonych i gdyby Szaramowicz jako naczelnik, miał więcej stanowczości. Niestety Szaramowicz nie był wojskowym i siły nie miał tyle aby doraźnym środkiem ukrócić niesforność Celińskiego.

Zwycięstwo odniesione raz nad Moskalami byłoby nam zapewniło znaczne widoki powodzenia. Moskale rozbici niemogliby spodziewać się dalszych posiłków; bowiem i to co w Irkucku zebrać mogli, uważali za zupełnie stracone. Sam sztab moskiewski z naczelnym szefem generałem Kukielem, był przekonania, że wyprawa majora Ricka, z oddziałem dwóch rot jest niedostateczną a lud i mieszczanie odprowadzający wojsko w Irkucku z łkaniami i płaczem żegnali sołdatów, nie spodziewając się ich więcej ujrzeć.

Zarząd wojskowy w Irkucku nie mógł większemi środkami na razie rozporządzać, miasto samo musiało mieć w tym ogólnym przestrachu silną załogę a ściągać posiłki z odległych miejsc, mianowicie z południowych granic, wskutek nieuregulowanych komunikacyj było niepodobieństwem. Zniesienie zatem wysłanego moskiewskiego oddziału, byłoby nadzwyczaj doniosłego znaczenia; broń moskiewska, obdzielić mogła jeżeli nie obficie to przynajmniej wystarczająco polskich powstańców, a z tą bronią można było śmiało stoczyć boje z hordami Mongołów i Buryatów wysłanych w razie danym przez Moskwę, jako pospolite ruszenie (opołczenie). W takim stanie rzeczy, rozbite wszystkie katorgi i więzienia zwiększyć mogły w dziesięć kroć powstańcze szeregi, nawet przypuszczając, że nie wszyscy więźniowie zechcieliby przyjąć udziału w pierwszej chwili — i powstanie mogło było wziąć taki obrót o jakim Moskale ani śnić mogli. Główne siły moskiewskie na południu, wynoszące kilkanaście tysięcy rozrzucone na kordonach granicznych od Mongolii i Chin, mogłyby tak długo być szachowane powstańczemi siłami, dopoki nie zostałyby zupełnie zniesione. I ruchy Polaków w Syberyi, o których dzisiaj nikt niewie, mogłyby swojem rozwinięciem zainteresować świat cały. Do tego niedoszło, bo kierownictwo nie było ujęte w ręce odpowiednie. Jednem uczuciem gorącem, nie dały się pokonać przeciwieństwa; porzućmy zatem dalsze krytyczne wnioski, jako już nie prowadzące do niczego a powróćmy do rzeczywistych wydarzeń, które się na bitwie pod Miszyszychą nie skończyły.

Łatwo przewidzieć do czego doprowadziło rozproszenie się resztek powstańców po lasach. Pospolite ruszenie z okolic Irkucka, złożone z kacapów i buryatów, wysłane niedługo w pogoń za powstańcami, idąc obławą od brzegów Bajkału ku wschodowi i ścieśniając coraz więcej łańcuchy, chwytało pojedyńczych powstańców, wycieńczonych z sił kilkudniowym głodem a kując ręce i nogi na wpół żywym powtórnym więźniom i katując przez całą drogę nieszczęśliwych, odprowadziło ich zaraz do Pussolska. W pięć dni obława była ukończona i Moskwa rozpoczęła dalsze prześladowanie.

Część rozbitków pomiędzy któremi, znajdował się Szaramowicz, Pankowski, Eliaszewicz, Kwiatkowski, Mysłowski, Popławski i jeszcze 7 innych, nie została złowioną wspólnie z innymi. Z początku gdy Moskale zabrali się do zrachowania ubytku więźniów, wzięto ich za poległych, których naturalnie przy grzebaniu nie sprawdzano, a powtóre, że na niektórych i trudno było rozeznać pierwotne rysy, uległe zdeformowaniu przez otrzymane rany. Moskale nietroszczyli się zbytnio o nich, mając czem zaspokoić żądzę zemsty, choć Szaramowicz był im potrzebny jako naczelnik i „zaczyńszczyk“.

Tymczasem ta partya błądzących, nie uległa losowi towarzyszy—cierpienia jej były wyjątkowe. Przy schyłku tego dnia krwawego w którym powstańcy rozbici zostali, piętnastu pozostałych, moralnie zgnębionych, fizycznie osłabionych nadmiarem upływu krwi, ciągnęło dalej, w gęszcza tajgów, zakrywające ich przed okiem dzikiego sołdactwa!

Nie mogąc się dalej posuwać, po kilkogodzinnem przedzieraniu się upadli nareszcie z zupełnej niemocy; ciężko ranni, wyciągnięci na ziemi z oczami zwróconemi w obłoki, skąd światło przezierało, znajdowali ulgę; mocniejsi na siłach wzięli się do rozłożenia ogniska, by się ogrzać i w cieple obmyć rany. Pokrwawione strzępy aresztanckiego odzienia użyto do obwiązania ran, które wzajemnie sobie opatrywano; o posiłku jakimkolwiek, mowy być nie mogło, a sen mimo śmiertelnego wycieńczenia, nie sklejał powiek! Zamierająca ta drużyna, otaczająca tlejące się gałęzie podobna była więcej do cieniów śmierci, niż do żyjących ludzi! W końcu prawa fizyczne przemogły, głód dotkliwie dawał się uczuwać i kurczowo ściskał wnętrzności a nadchodzące jutro, jeszcze gorszem w następstwach być miało! Zasnęli. — Blask jutrzenki następnego dnia przedzierający się przez splecione gałęzie odwiecznych cedrów, słaby jak ich nadzieje, przebudził zgłodniałych wędrowców; był to czwartek! Na miejscu dotąd obranem nie było czego dłużej pozostawać, powstali z ziemi i puścili się dalej — gdzie? i po co? Straciwszy zupełnie poczucie okolicy postanowili wytężyć wszystkie siły i wdrapać się na najbliższą górę aby z jej wierzchołka rozpoznać miejscowość.

Zaledwie koło południa dotarli na szczyt góry stromy, ślizki, przez opadłe igły drzew i krzaków. Byłto punkt imponujący swoją wysokością, dostarczający czystego powietrza, ten więc obrano sobie za miejsce nowego odpoczynku.

Dostawszy się na wierzch, zapomnieli o celu, gorączka trawiąca z bolów i głodu, robiła z tych ludzi nieprzytomne widma! Niejako instynktownie rozdmuchało kilku ogień i po chwili, każdy się zwalił na ziemię, bezwładny, aż poprzednik śmierci — sen, ogarnął wszystkich! Nie trwał on długo, bóle niedozwoliły im użyć tego jedynego zwierzęcego szczęścia i po kolei zrywając się, ujrzeli się znowu wszyscy czuwającymi!

Na tej wyżynie odsłonił się rozbitkom widok pożądany. Poziemie niknące wśród gęstwin drzew i nie dające się ująć wzrokiem, po którem wczoraj błądzono, dzisiaj ukazało się obszarem ograniczonym dalekimi obłokami zwieszającymi się nad ziemią. W oddali ku zachodowi szarzało złowrogie lustro Bajkału zakrywające resztę świata? Wody jego tracąc w odległości ruchliwość fal, wyobrażały spokój martwy na którym wzrok tępieć musiał. Z wytężonem mimowoli okiem wpatrywali się nieszczęśliwi w stronę swej zaguby, a dojrzawszy na tym obszarze niby ruchome, to znów jak przykute wydatne trzy punkta, i poznawszy w nich parowce, ze wstrętem odwrócili twarze przed tem ironicznem znamieniem cywilizacyi i postępu!

Jeżeli rozbitek falami mórz wyrzucony na bezludzia wysp nieznanych dostrzeże cechę życia choćby najmniejszą, to chociaż widokiem takim nie odsunie zguby swojej, ułagodzi jednakże rozwiniętą agonię wzmocnieniem tajemnego węzła, który go łączy z życiem ogólnem! i wzrok jego zamykający się na zawsze, z pewnością utkwi ostatni raz w tej stronie, skąd go zadrasnął promień życia. Cóż dopiero mówić, gdy ten sam rozbitek, bez nadziei ratunku, zoczy w oddali okręt lub statek płynący w jego stronę; obcy na nim ludzie wydawać mu się muszą aniołami zbawienia! Mimowolnie mdlejące ręce złoży ku ich powitaniu, serce mu zadrga z radości! A jednak... jakże mało ludzkości spodziewać się musieli od tych ludzi powstańcy, skoro nawet umierając z głodu i znużenia z przerażeniem odwracali od nich oczy! Zbliżał się wieczór a choć droga nie naglila to przynajmniej zmiana miejsca utwierdzać mogła, że się żyje. Na owej górze oprócz zgrozy widoku nic więcej nie znaleziono. W stronę tę, która stać się miała jedynym kierunkiem naszych wędrowców były nieprzejrzane lasy i lasy; Spuszczono się zatem w niziny zarosłe i u stóp góry rozłożono ognisko. Deszcz gęsty począł dokuczać; pomimo zasłony drzew przeziębli, nie puścili się w dalszą drogę lecz udeptawszy sobie leże, w półsennem odurzeniu przetrwali tak aż do dnia następnego!

Słońce weszło zwiastując trzeci dzień wędrówki. Głód przerażająco dokuczał, organizm sam w sobie trawić się zaczął. Cedry nie były jeszcze pokryte pożywnym orzechem, żyjącego stworzenia do koła nie było śladu, jedyna czeremcha*) jaką napotkano stała się ucztą zgłodniałych. Do niej rzucono się z całą żarłocznością wyrywano ją z łodygą i z chciwością połykano uśmierzając nieco boleści i czczość głodową. Po tym posiłku puścili się znów dalej w podróż; było to już koło południa; lecz nad wieczorem stanęli na tem samem miejscu, z którego wyszli tak było niepodobnem oryentowanie się wśród nieprzejrzanych gąszczów! Szczęściem znaleziono jeszcze obfitość czeremchy, która pozornie przynajmniej nasycała. I tak przeszedł jeszcze dzień jeden.

W sobotę rano, czwartego dnia wędrówki całonocny deszcz przestał padać, niebo wypogodziło się, ciepło słońca ogrzało poranione członki, powstańcy więc zasiliwszy się czeremchą znowu próbowali iść w drogę Wdrapali się na dość odległą górę aby z niej rozpoznać strony świata, i tym razem przyjęli za przewodni kierunek południe. Odtąd nie zwracając się przed przeszkodami przez góry, rzeczki, wąwozy, i najciemniejsze gęstwiny posuwali się naprzód w prostej linii. Głód ponownie odezwał się z całą wściekłością a gorączka coraz silniejsza, wysuszała gardła i podniebienia; konwulsyjne kurcze żołądkowe waliły z nóg co kilkanaście kroków bezprzytomnie postępujących rozbitków! Niepomogły ostatnie wytężenia, trzeba było pozostać na miejscu w zupełnej niemocy. Ze zmianą miejsca i jedyna karmicielka czeremcha, zniknęła, szukano jej wzrokiem na około siebie, lecz naprózno! za to ukazały się po ziemi rozpostarte jagody zwane „smorodina“, rzucili się do nich gwałtownie i dotąd nieopuszczali miejsca, dopokąd zupełnie nie objedli pożywnych jagód. Targając siły na daremnem i bezcelowem przedzieraniu się postanowili nareszcie pozostać na obranem miejscu, żywiąc się małemi jagodami i nie łaknąc innej zdobyczy.

Po *dziewięciu dniach* błądzenia, po przejściu takich męczarni zrobili się ci nieszczęśliwi prawdziwymi potworami. Nietylko odzież ale i ciało w strzępy poszarpane było. Liczne rany pokrywające ich ciała gnoiły się sącząc krew z siebie;

*) Łodyga i liść podobny do cebuli, smak czosnkowy, cierpko słodki, bardzo silny. Tej rośliny tak Moskale jak i Buryaci w Syberyi wschodniej używają jako środka leczącego radykalnie szkorbut. Przyrządzenie czeremchy do tego celu polega na prostem namoczeniu w wódce.

włosy jeżyły się jak u dzikich, oczy gorączką wysadzone na wierz, błędnym ogniem świeciły, a twarze zapuchłe, żółte, nawet w nich samych patrzących na siebie przestrach wzbudzały. Nogi zginały się pod ciężarem własnego ciała, w rękach nie mogli nawet kija do podparcia utrzymać. A tymczasem i tu w końcu pokarmu zabrakło i podróż dalsza stała się konieczną.

Dziesiątego dnia wlekąc się jeden za drugim wypatrywali pokarmu. I czeremchy i smorodiny zabrakło. Znaleziono jednakże jakiś gatunek *berberysu*, znany im z opowiadań Moskali jako trucizna. Rzucili się do jagód zjadliwych z prawdziwą rozkoszą będąc pewnymi, że prędzej zakończą życie. Po spożyciu jednakże do sytu tego nowego pokarmu nietylko, że ślady otrucia nie pokazały się, ale przeciwnie, smak przyjemny kwaskowy, czynił je krzepiącymi a sok lepki ułagadzał bóle wnętrzności. Miejsce więc to przykuło ich znowu do siebie i pozostali na niem a przynajmniej nie w wielkim od niego oddaleniu *sześć dni*, dopóki do szczętu nie wyjedli ostatniej gałązki berberysu. Lasy szpilkowe mniej obfite w roślinność, aniżeli liściaste, większe też stawiały trudności w wyżywieniu. Ciągle w kierunku południowym dążąc spostrzegli wreszcie listki podobne do szczawiu i te zatrzymały ich znowu na kilka dni w skutek czego razem upłynęło im w drodze dni *dwadzieścia*. W dalszym pochodzie a raczej pełzaniu na rękach i piersiach, natrafili na roślinę ponętnego kształtu, która w ziemię zapuszczała mięsisty korzeń, strojąc część po nad ziemię wystającą koroną drobnych podłużnych lancetowatych listków, na wzór naci marchewnej.

Była to po prostu marchwica czyli cykuta (conium maculatum). Rzucono się do niej, tak jak się może rzucić zwierzę obumierające z głodu a tylko jakąś nadprzyrodzoną siłą podtrzymane jeszcze przy życiu, każdy zjadł przynajmniej po kilka jej sztuk aż dopóki wstrętu nie uczuł. Po chwili okazały się objawy otrucia. Boleści gwałtowne z wymiotami wystąpiły w całej sile, kurcze straszliwe, wykręcały każdego jak węża, muszkuły drgały jak naciągnione struny, w oczach stępionych świeciły tylko przelatujące ogniki wyprzedzające niedługie nadejście zgonu! Pomimo tego żaden jęk boleści nie wydobył się z ich piersi, były to massy bez czucia, ulegające obojętnie walce życia organicznego z jego ostatecznem obezwładnieniem. Lecz i teraz jak pierwej zła gwiazda nie chciała dla nich zagasnąć. Widocznie wycieńczenie, czyniło organizm mniej wrażliwym na jady trucizny; po kilku godzinach, każdy choć osłabiony, powstał z ziemi i oprócz przytępienia zmysłów i odurzenia, nic więcej nie pozostało po przebytych symptomach otrucia.

(C. d. n.)

ŚWIATŁA.

Niebieskie światła po drżącym eterze
Ślą jasność swoję w bezbrzeżne otchłanie,
A nikt nie dojdzie, zkąd się blask ich bierze?
I jak się w ciemność rozprasza świtanie?
I nikt nie zbada: co? i w jakiej sferze?
Z tej promienistej wędrówki powstanie;
Lecz moc nie ginie i promień skrzydlaty
Do życia nowe powołuje światy.

Tak samo światła ludzkich dusz co płoną
I ponad ziemią znaczą drogę jasną,
Gdy promieniami w nieskończoność toną,
Chociaż się w ciemność rozproszą — nie zgasną;
Ale dalekiej przyszłości zniknione
Przekażą siłę i słoneczność własną,
Aż z owych blasków rozpierzchłych w przestrzeni
Nowa jutrzenka ludzkość opromieni.

El...y.

Gabryel Conroy.

Romans
BRET HARTA.

Tom czwarty.

ROZDZIAŁ V.

(Ciąg dalszy.)

Na ten raz wiadomości szerzone o kopalni Conroy opierały się na prawdzie. Akcye spadły na 45, potem na 30, potem na 10, potem na zero. W godzinę po trzęsieniu ziemi, wiadomem było w One horse gulch, że „żyła" nagle zapadła się i że między nią a powierzchnią zaległ pokład granitu nieobliczonej grubości.

Podczas tych burzliwych dni pan Dumphy wobec świata okazywał najzupełniejszą pewność siebie i jeżeli zachodziła jaka różnica w zachowaniu się jego terazniejszem w porównaniu z poprzedniem, to chyba, że stał się jeszcze bardziej wyzywającym. Klienci jego nie odważali się mówić mu o swych stratach. Dumphy tryumfował tak jak zawsze. W takiem usposobieniu umysłu zastał go Poinsett, powróciwszy następnego poranku z misyi San Antonio.

— Złe wiadomości, jak sądzę, — powiedział Dumphy pospiesznie — wdowa, pewno nie bardzo czuje się zadowoloną, co?... Djabelnie mi jej żal, panie Poinsett? Pewno mówi, że została oszukana?

Artur spojrzał na niego z nietajonem zdumieniem.

— Jeżeli myślisz pan o pani Sepulvida, powiedział zimno — to ja jej nie widziałem. Byłem w drodze do niej, gdy telegram pana odwołał mnie. Miałem interesa z ojcem Felipe.

— Więc pan nie wiesz, że kopalnia Conroy wskutek trzęsienia ziemi znikła, co?... żyłę djabli wzięli, oh?... i sześćdziesiąt pięć tysięcy wdowy także, co?...

Tu p. Dumphy klasnął palcami, ilustrując tem stratę kapitału donny Maryi, potem znowu spytał:

— To pan nie wiesz o tem?

— Nic, nie wiem odrzekł Artur z najzupełniejszą obojętnością. Ale nie przypuszczam by to było powodem telegramu pana.

— Nie, rzekł Dumphy, ciągle w Poinsetta wpatrując się, zapewne ażeby znaleźć klucz do wyjaśnienia sobie dziwnej i niesłychanej obojętności, z jaką gość jego przyjął wiadomość o stanie majątkowym kobiety, którą zamierzał poślubić.

— Pojadę do One horse gulch — ciągnął Artur dalej — by Gabryelowi Conroy ofiarować moje usługi, jako doradca prawny. Morderstwa tego, mówiąc nawiasem, Gabryel, według mego zdania, nie popełnił; musiałby być zupełnie innym człowiekiem aniżeli jakim go znałem. Ale jeżeli łaska, to opowiedz mi pan, co wiesz o tem morderstwie?

P. Dumphy zmuszony tem wezwaniem i całkiem pod wpływem zimnej spokojnej woli Artura, krótko opowiedział znane czytelnikowi szczegóły, o których telegraficznie był zawiadomiony.

— Teraz znowu go pojmano, — zakończył Dumphy; — ostatni telegram donosi mi o tem; wątpię by drugi raz próbowano sądzić go doraźnie... już tak zarządziłem — dodał powracając do dawnej pewności siebie — wyrobiłem sobie tam pewien wpływ.

— Naturalnie, rzekł zimno Artur, nie przypuszczam byś pan był takim głupcem, i dopuścił do tego aby jedyny świadek śmierci żony, jakiego pan masz, padł ofiarą.. Nie jesteś pan takim głupcem, aby nie wierzyć, że ta pani Conroy niezaniedba żadnych środków będących w jej mocy, ażeby podać pomoc swemu mężowi, któremu niezaprzeczenie całkiem jest oddana... by dla uratowania go nie skorzystała z jakiejkolwiek tajemnicy o osobie pana, mogącej znajdować się w jej ręku. Nie, panie Piotrze Dumphy — dodał z naciskiem — zanadto pan posiadasz znajomości interesów, byś sam tego nie wiedział!

Gdy to mówił, zauważył jak twarz Dumphyego to czerwienieje, to blednie i wyczytał w niej — może z tryumfującem przeświadczeniem o wyższości swej inteligencyi — że p. Dumphy w samej rzeczy był takim głupcem i głupstwo takie popełnił.

— Sądzę, że nikt nie da wiary zeznaniu kobiety obwinianej o zbrodnię — zauważył Dumphy z pozorną ufnością, której wcale nie posiadał.

— Przypuśćmy, że ona i Gabryel, oboje przysięgną, że naprzykład ona zna domniemaną żonę pana i przypuśćmy, że oboje przysięgną, że ona i pan razem ten spisek uknuliście, wskutek którego wydała się ona za Gracyę Conroy ażeby tym sposobem wyjednać dla siebie i dla pana tytuł własności na kopalnię... i przypuśćmy, że oboje wyjaśnią śmierć tego Ramireza... i będą utrzymywać, że pan kazałeś mu ich prześladować i jeszcze prześladujesz. Przypuśćmy, że przytoczą dowody, że on sfałszował drugi tytuł własności tej kopalni... z namowy pana?

— Kłamstwo! przerwał Dumphy zrywając się, — on to uczynił przez zazdrość!

— Czy możesz pan to udowodnić? zapytał Artur.

— Tytuł własności nie był na moję korzyść; wystawiony był na nazwisko jakiegoś starego Kalifornijczyka z misyi San Antonio. Mogę to udowodnić! zawołał Dumphy wzburzony.

— Przypuśćmy, że możesz pan to zrobić. Nikt nie zgodzi się na to byś pan był tak nieoględny i inny tytuł posiadania wyjednywał prosto dla siebie, podczas gdyś z Gabryelem traktował o jego posiadłość. Niech pan nie robi głupiej miny. Ja wiem, że pan nie miałeś nic do czynienia z fałszerstwem. Wskazuję tylko na to jako pan narażałeś się na obwinienia kobiety, z której wytworzyłeś sobie nieprzyjaciółkę, podczas gdy powinieneś był zrobić co tylko można by ona sprzymierzyła się z panem. Pan musisz jej dopomódz we własnym swoim interesie... winszuj pan sobie szczęścia, że komitet bezpieczeństwa nie powiesił Gabryela i że do innych motywów kobiety zrozpaczonej i knującej plany, zemsta się nie przyłączyła.

— Ale czy jesteś pan przekonany, że pani Conroy jest rzeczywiście osobą, ukrywającą się poza pełnomocnikiem Starbottle i wydającą się za moję żonę?

— Stanowczo przekonany, odrzekł Artur. Czyś pan miał jaką dalszą rozmowę z pułkownikiem Starbottle?

Przyparty w ten sposób do muru, Dumphy krótko opowiedział szczegóły ostatniej swej rozmowy, skuteczne powodzenie próby przekupienia pułkownika, wręczenie zapieczętowanej koperty pod pewnemi warunkami i tajemnicze jej zniknięcie. Artur wysłuchał spokojnie wszystkiego do końca; ale gdy Dumphy powiedział o zatracie pakietu, bardzo znacząco wpatrzył się w Dumphyego.

— Więc mówisz pan, że papier honorowi jego powierzony... utra...ciłeś?... — zapytał powoli i z obraźliwem podejrzeniem, — utra...ciłeś go?... nie otworzywszy i o treści jego nie dowie-dziawszy się?... To bardzo nieszczęśliwie, panie Dum... phy! to bardzo nie szczęśli-wy wypadek.

Oburzenie uczciwego człowieka na przypuszczenie, iż dokonał jakiejkolwiek nikczemności niezgodnej ze swym charakterem, zawsze okaże się słabem w porównaniu z gniewem łotra obwinionego o łotrostwo, które chętnie popełniłby, ale nie popełnił. P. Dumphy poczerwieniał jak karmazyn. Tak widocznem było, że nie jest winien zniknięciu pakietu i że treść jego nie jest mu znana, iż Artur stanowczo nabył o tem przekonania.

— Czy Starbottle zaprzeczył, by pani Conroy miała jakie osobiste wiadomości o tej sprawie? zapytał.

— Najzupełniej! Dał mi do zrozumienia, że ma instrukcye od partyi nieznanej mi, — odrzekł Dumphy — posłuchaj, panie Poinsett... pan się mylisz!... ja nie sądzę by to była ta kobieta.

Artur kiwnął głową.

— Żadna inna nie posiada potrzebnych wiadomości, by mogła tak panu przykładać pistolet do piersi. Żadna inna niema powodów do uczynienia tego.

Otworzyły się drzwi i wszedł komisant z kartką. Dumphy wziął ją niecierpliwą ręką i przeczytał: „Pułkownik Starbottle z Siskiyou.“ Zaniepokojony zwrócił się ku Poinsettowi.

— Dobrze, rzekł ten spokojnie — powiedz pan niech wejdzie.

A gdy komisant odszedł, Artur zwrócił się ku Dumphyemu i dodał:

— Przypuszczam, że pan posłałeś po mnie, bym spotkał się z tym człowiekiem.

— Tak jest, odrzekł Dumphy, odzyskując swą zarozumiałość.

— W takim razie powstrzymaj pan swój język!... i wszystko pozostaw mnie!

Gdy to mówił, drzwi otworzyły się i wszedł pułkownik Starbottle, z wysuniętą naprzód piersią i starannie wyfurkowaną koszulą na niej. Zdziwiło go widocznie, że spotkał gościa u pana Dumphy.

— Mój doradca prawny, pan Poinsett, — rzekł Dumphy krótko, przedstawiając Artura.

Mężny pułkownik głęboko się ukłonił, podczas gdy Artur z ugrzecznionym uśmiechem i swobodą, która zdziwiła Dumphyego i jednocześnie podchlebiła pułkownikowi, wystąpił naprzód i podając rękę powiedział:

— Jako młodszy członek wspólnego naszego zawodu, zaledwie mogę mieć pretensyę do zwrócenia uwagi takiego doświadczonego i znanego jej członka jak pułkownik Starbottle; ale jako przyjaciel biednego Henryka Beeswinger, mogę ośmielić się uścisnąć rękę człowieka, który przed dwoma może laty tak dzielnie stał przy nim jako sekundant.

— Goddam, sir — rzekł pułkownik Starbottle, z radości oblawszy się rumieńcem, — Goddam! sir... eh!... eh!... dumny z tego jestem! Jestem... eh!... uradowany, w wysokim stopniu uradowany, sir, spotkać przyjaciela... eh! takiego gentlemana jak Hank Beeswinger!... do wszystkich piorunów!... Przypominam sobie całą historyą, sir, jak gdyby to stało się nie dalej jak wczoraj! Przypominam, do wszystkich piorunów! Przyjaciel pana!.. przy drugim strzale!... padł jak gentleman! do wszystkich piorunów!... żadnego hałasu! żadnych sprawozdawców! żadnych aresztowań! Przyjaciele byli ostrożni.

— Mam jeszcze więcej powodów do poczytywania się za szczęśliwego, żem spotkał pułkownika Starbottle, rzekł Artur z obmyślaną powagą — a mianowicie przyjaciel mój i klient, pan Dumphy, znajduje się w tej chwili w takiem położeniu, iż w wysokim stopniu pożądanemi mu są uwagi gentlemana i człowieka honoru. Dokument, który mu jako gentlemanowi powierzony został do przechowania, znikł od czasu trzęsienia ziemi i przypuszcza się, iż podczas wzburzenia, katastrofą spowodowanego, pochwycony został. Dokument był jeszcze nietknięty. Jestto sprawa nadzwyczaj delikatna; ale cieszę się, że gentlemanem, który dokument dał do przechowania jest szanowny pułkownik Starbottle, którego zaszczytna reputacya jest mi znana, a gentlemanem, który miał nieszczęście doznać tej straty, mój osobisty przyjaciel pan Dumphy. To mię odrazu stawia w możności ofiarowania moich usług w charakterze pośrednika, lub też prawnego doradcy pana Dumphy i jego przyjaciela.

Pułkownik wysunął naprzód podbródek i dwoje zdumionych i osłupiałych oczu utkwił w Artura.

— Jeżeli dobrze pojmuję — powiedział — to... eh!... ten gentleman... pan Dumphy... udzielił panu wiadomość... eh!... o sprawie... eh!..., którą mu... eh!... poufnie zwierzono...

— Zapozwoleniem, pułkowniku Starbottle— przerwał Artur, podnosząc się z godnością — fakta, które tylko co przytoczyłem, wystarczają dla odpowiedzialności, jaką w tym razie biorę na siebie. Dowiedziałem się od mojego klienta, że oddany mu do rąk opieczętowany papier zaginął. Otrzymałem od niego stanowcze zapewnienie, którem obowiązany jestem wierzyć, że pakiet zaginął nie otwierany; gdzie się podział, on nie wie. Jestto okoliczność wcale ważna między gentlemanami, ażeby wyłączyć wszelkie dalsze plątanie.

— I dokument i koperta zginęły? ciągnął pułkownik dalej, zawsze wpatrując się w Artura.

— Zginęły, odrzekł Artur spokojnie, — przyjacielowi memu, panu Dumphy, podałem radę by, jako człowiek honoru i znający się na interesach nie poczytywał się bynajmniej za zwolnionego od jakichkolwiek przyrzeczeń lub układów zawartych między nim a panem w tej sprawie.

Artur podszedł ku panu Dumphy i położył mu rękę na ramieniu lekko, ale z naciskiem zrozumiałym dla finansisty. P. Dumphy spojrzał mu w oczy, wyciągnął swą książkę czeków i napisał duplikat wydanego pułkownikowi Starbottle przed kilku dniami czeku. Artur zadzwonił. Wszedł komisant i na znak Poinsetta wziął czek z bezwładnych prawie palców pana Dumphy.

— Pozwól mi pan wyrazić moje zupełne zadowolenie... eh!... eh!... Z tego załatwienia! rzekł pułkownik Starbottle jedną ręką wyciągając ku Arturowi, a drugą w tejże samej chwili porządkując fałdy na przodzie koszuli, — niech pan już dalej nie trudzi się... względem tego... eh!... eh!... papieru. Sądzę, że jeszcze... eh!... znajdzie się!... w przeciwnym razie, sir — dodał z pełną rezygnacyi godnością — ja sam osobiście będę odpowiadał przed moimi klientami... eh! do pioruna!

— Czy nie było jakiego znaku na kopercie, po którym mógłby być poznany, bez naruszenia tego co się wewnątrz zawiera? zapytał Artur.

— Żadnego, sir! był to gładki żółty papier. Ale zapozwoleniem! — goddam, sir!... teraz przypominam sobie, że podczas naszej... eh!... rozmowy... do wszystkich piorunów!... eh!... naprzedniej stronie koperty, wpoprzek... wypisałem nazwisko diabelnie dźwięczne teraz!... goddam, sir!... nazwisko Gabryela Conroy!

— Napisałeś pan tam nazwisko Gabryela Conroy!.. dobrze... rzekł Artur — to wystarczy dla sprawdzenia, bez naruszania tego co się wewnątrz zawiera. — No, panie?

Dwa ostatnie wyrazy zwrócone były do komisanta, który wszedł podczas gdy pułkownik mówił i kolejno spoglądał to na niego, to na swego pana, trzymając czek w ręku.

— Oddaj to temu gentlemanowi, rzekł Dumphy krótko.

Komisant był posłuszny. Pułkownik Starbottle wziął czek, złożył go i ukrył w tajnikach kieszeni swej na piersiach. Uczyniwszy to, zwrócił się do pana Dumphy i rzekł:

— Gdyby papier znowu się pojawił, natenczas... eh!... naturalnie... eh!... pan go mi przeszlesz... ponieważ... eh!... jestem osobiście za niego odpowiedzialny!... Goddam, sir! — dumnym byłbym gdyby ta sprawa, z tak ścisłą honorowością przeprowadzana... mogła być... eh!... wesoło zakończoną... eh!... przy dobrym stole, ale... eh!... interesa nie pozwalają mi. Za godzinę odjeżdżam do One horse gulch.

Dumphy i Poinsett mimowolnie spojrzeli na niego.

— Do One horse gulch? powtórzył Artur.

— Tak jest!... goddam, sir!... powołany tam jestem w ważnej, diabelnie ważnej sprawie! Morderstwo, sir!... sprawa tego... tego Gabryela Conroy!

Artur rzucił na Dumphyego wzrok nakazujący ostrożność.

— W takim razie może będziemy towarzyszami podróży; rzekł do pułkownika ze słodkim uśmiechem. Ja również tam jadę. Może szczęśliwa moja gwiazda doprowadzi nas do przyjacielskiej narady. Pan stajesz po stronie...

— Po stronie wytaczającej zaskarżenie, — przerwał Starbottle, lekko wydymając piersi, — na żądanie krewnych zamordowanego... hiszpańskiego gentlemana... eh! eh!... z rodziny rozgałęzionej i wpływowej.

Wzruszenie, jakie zabłysło w oczach Artura, na szczęście nie ujawniło się w głosie, gdy ze wszelką swobodą dodał:

— A gdybyśmy mieli spotkać się w przeciwnych obozach, kochany pułkowniku, to zawsze jeszcze spodziewam się, że stosunki nasze pozostaną tak samo przyjaznemi jak dziś. Pozwól pan prosić byś przyjął moją rękę i wypijmy jeszcze szklaneczkę wina na pożegnanie i szczęśliwą podróż.

I znacząco spojrzawszy na Dumphyego, zręcznie pochwycił rękę pułkownika i wyszedł z tym wojownikiem, rozpromienionym i nadętym.

Gdy drzwi się zamknęły, w tej samej chwili ukazał się komisant zmięszany i zatrwożony.

— Ty gawronie! zawołał p. Dumphy — niech cię szatan porwie! Czego tu chcesz gawronie!

— Z największem przeproszeniem, sir, — wybełkotał nieszczęśliwy komisant, — ale słyszałem jak jeden gentleman mówił, że na liście, który panu przepadł, stało coś napisane, po czem możnaby go poznać, panie!... sądzimy żeśmy go znaleźli... to jest wiemy gdzie jest.

— Co? zawołał Dumphy zaniepokojony.

— Gdy owego popołudnia nastąpiło trzęsienie ziemi — ciągnął komisant dalej — listy do Sacramento i Marysville właśnie zabrane zostały przez umyślnego posłańca i leżały na wozie. Przy drugiem wstrząśnieniu konie rozbiegały się, skrzynka spadła koło latarniowego słupa pod naszemi oknami, potem podskoczyła i rozmaite listy i papiery rozsypały się na ulicy. Jeden z naszych nocnych stróżów, dopomagający posłańcowi zbierać papiery, między innemi podniósł i żółty list, na którym były napisane tylko wyrazy Gabryel Conroy ukośnie ołówkiem. Sądząc, że list ten wypadł z któregokolwiek pakietu w skrzynce, włożono go tam napowrót. Gdyś się pan następnie pytał o niemającą napisu kopertę, która znikła z biurka pana, nie dotyczyło to wcale tego, który był podniesiony na ulicy, gdyż ten miał adres. Teraz właśnie posłaliśmy do biura pocztowego i otrzymaliśmy zawiadomienie, że pakiet został ostemplowany i wysłany do Gabryela Conroy do One horse gulch, tak jak to zwykle się działo dotąd z naszemi posyłkami. Trzeba przypuszczać panie, że w tej chwili list znajduje się już w ręku pana Conroy... (C. d. n.)

Z DZIEJÓW UNII

przez

JULIANA BARTOSZEWICZA.

(Wyjątek z niedrukowanego dzieła.)

ROZDZIAŁ XX.

(Ciąg dalszy.)

Ale przyszedł szatan propagandy moskiewskiej zaplugawić tę świetność. Przyszła tolerantka z duchem apostolskim, carowa, a za nią chytry władyka, rozdmuchiwać najniższe namiętności ludzkiego serca, chęć zaboru i swawoli, obudzać najwyraźniejszy socyalizm. Krzyczą na demagogów i komunistów europejskich, że aby na swojem postawić, poświęcić gotowi na ofiarę honor, krew i życie milionów. A ja powiadam, że w Europie i wyobrażenia nikt nie ma, czem jest demagogia i socyalizm, kto Moskwy naukowo i w życiu nie poznał. Tutaj naprzykład lud szczęśliwy pod tchnieniem cywilizacyi, swobodnie rozwija się ku wolności, ku dobremu bytowi, ku światłu, ku wszystkiemu, co szczęście nasze na tej ziemi stanowi. Jakiegoż serca niedźwiedziego potrzeba, żeby ten lud odciągać od Boga, od pracy, od powinności, i rzucać na ofiarę swojej dumie, chęci panowania, w ręce dawać mu nóż, żeby zwierzchnictwa moskiewskiego był godnym! A jednak to polityka Moskwy od tych 700 lat, co Moskwa istnieje.

Już w pierwszych chwilach panowania Stanisława Augusta, w r. 1765. Charko podniósł rzeź do godności zasady, ale umilkł. Owoc nie był dojrzały.

Carowa rzuciła wielki płomień w Rzeczpospolitą, kwestyą dyssydentów, którzy u nas tysiąc razy mieli więcej wolności, niż jej prawie do dziś dnia mają naprzykład katolicy w Anglii lub w Szwecyi. Nie obejrzała się carowa na siebie samą, niecierpiała w carstwie katolików, a jej panowanie dla kościoła gorsze było, niż wszystkie inkwizycye i autodafe. Carowa Katarzyna obroñicielką wolności sumienia! Co za krwawa ironia! Ale świat jej wierzył, zawojowany przez filozofów. Był to wiek ubóstwiania siły materyalnej, więc Katarzynie się powodziło.

Dyssydentami podług carowej, która lepiej rozumiała prawa narodowe polskie i wolność, niż palestranci, deputaci trybunalscy, byli i dyzunici, to jest poddani Moskwy w Polsce, kierowani przez Koniskiego. Wprawdzie konstytucye narodowe nazywały po wszystkie czasy dyzunitów Grekami orjentalnemi i wyraźnie oddzielały ich od dyssydentów. Ale co tam konstytucye! Wielka tolerantka widzi, że to tylko fanatyzm polski, a jak Moskale dzisiejsi to nazywają, intryga. Greków nazywa dyssydentami i odrzuca im przymiotnik oryentalnych, gdyż to rzecz także stara, której światło wieku nie znosi; nazywa ich sama Grekami rossyjskiemi. Ich zaś cerkiew naturalnie także jest grecko-rossyjską cerkwią. Prawo nasze za dyssydentów uważało tylko odszczepieńców od kościoła katolickiego, odpadłych w czasie reformy Lutra. Katarzyna prawu polskiemu kazała milczeć i przez oprawców swoich, Kayserlinga i Repnina, pisała nowe konstytucye dla narodu. Żeby sobie grunt oczyścić, kazała z łona sejmu porywać biskupów, wojewodów i posłów. Wnikała lepiej w ducha prawodawstwa, bo studyowała je z miłością uczonego, niby drugi Łojko i Naruszewicz. Odkryła więc, że wyrażenie grecko-rossyjski lepiej oddaje wielkie pojęcie, do którego się przyczepia, niż greckooryentalny, i ku wielkiej radości swojej natrafiła na odkrycie, że ona, carowa Wszech Rossyi, ma poddanych w Polsce. Nikt w świecie nie spełnia tak sakramentalnie wszelkich powinności swoich, jak carowie. Otóż prawdziwa matka tych poddanych, wstawia się za niemi do Polski, bo serce jej, jak serce Piotra, łzami nad losem niedoli się zalewa. Sejmy nasze mają wstręt słuszny do dyssydentów za to, że uciekli się także pod opiekę carowej. Nie byli przecież dyssydentami grecko-rossyjskiemi. Katarzyna ich za współwyznawców swoich nie uznawała, a lgnęli do niej, skarżyli na ojczyznę, Rzeczpospolita na prawdę w wieku tolerancyi, za panowania filozofów, nie byłaby im przeciwną; miałże naprzykład bronić im przywilejów biskup krakowski, który jakto wszyscy wiedzą, dziwił zachowaniem się swojem prawdziwych katolików? Ale powinni się byli mieć do ojczyzny, jej prosić o łaski i przywileje. Gdyby czas był spokojniejszy, nie pomyśleliby nawet o niczem, bo za mało ich było. Ale Katarzyna wzięła ich na swoje koła i głośno krzyczeć nakazała na prześladowanie. Tu klucz zagadki. Sołtyk piorunuje, bo obrażony jest w godności narodowej, Załuskiemu więcej chodzi o wiarę. Za to usunięci z krzyczącem pogwałceniem prawa narodów do Kaługi. Moskwa sejm rozpędza, a przez delegacyę każe pisać prawa, układa konstytucyą narodową mającą obowiązywać na przyszłość. Nie dotykamy strony politycznej, ale pod względem religijnym tolerancya carowej tak daleko poszła, że wiara katolicka, niedawno panująca, została się na łasce wszelkiego rodzaju dyssydentów, licząc w to dyzunitów według wyrozumienia przez carowę prawa, to jest nie wiemy, czy nawet dwudziestej części narodu. Koniski wyszedł na dyktatora, zostawszy prezesem nowego sądu *judicii mixti*, w najwyższej instancyi rozstrzygał wszystkie religijno-polityczne sprawy, do których chociażby z najodleglejszych względów, schizmatyk jaki lub dyssydent należał. Było to coś gorszego, niż owa komisya w r. 1744 *subreptitie* na króla wydarta.

Tolerancya Mikołaja i Aleksandra IIgo, wszystkich poprzednich carów i carowych nie robiłaż tak samo? Ta sprawiedliwość w kraju katolickim dla uciśnionych dyssydentów szła tak daleko, że dziś nawet jeszcze, w tej chwili, kiedy to piszemy, po wielkich reformach w Królestwie kongresowem, w urzędowych wykazach statystycznych, wyznawców prawosławia piszą, jako godniejszych przed katolikami, że dla odrabiania spraw unitów jest osobny Wydział w komisyi wyznań, odrębny od wydziału dla obrzędu łacińskiego, że dla wojska moskiewskiego, bo w Kongresówce nie ma prawie innych prawosławnych, od lat 30tu zbudowano kilkadziesiąt cerkwi po miastach i miasteczkach, zaprowadzono czterdzieści parafii *in partibus* *). Nasze kościoły, jak naprzykład piękny klasztor i gmach pocysterski w Sulejowie, idą w gruzy, ale wznoszą się cerkwie prawosławne dla przyszłych wyznawców, których wysoka tolerancya przewrotnością, podstępem i pieniędzmi natworzyć usiłuje. Nie odchodzimy od materyi, chociaż przerwaliśmy opowiadanie. W takich albowiem szczegółach jak powyższe, tkwi dowód, że Moskwa jest tem, czem była przed laty, wcielonem barbarzyństwem.

Lepiej się nadało teraz Katarzynie z rzezią ukraińską. Po sławnych prawach pierwszej delegacyi, wybuchła naraz jako protestacya narodu zbrojna konfederacya barska. Carowa czuła się znagloną dla ocalenia się, dla utrzymania niewoli, w jaką wtrąciła Rzeczplitą, zamordować, zgubić konfederacyą, która wypowiedziała wojnę śmiertelną wszelkiej niegodziwości moskiewskiej. Dla tego w Ukrainie w motroneńskim monastyrze, nikczemny oprawca, igumen Melchizedek święci noże niby na wojnę świętą, bałamucąc lud, dla tego w Smilańszczyznie, drugi oprawca, Maksym Żeleźniak, poddany carowej, bo z za Dniepru, buntuje lud nadzieją łupów i zdobyczy, w tej Smilanszczyznie na wskróś już unickiej, będącej pomnikiem apostolskich zabiegów X. Kosteckiego. Nowe szajki obrońców wiary prawosławnej, której na Ukrainie już nie ma prawie śladu, zjawiają się nagle z za Dniepru. Bieganie na saturnalia i Ruś, którą Moskwa wzburzyła. Dowódzcami w rzezi są: Tymeńko, Bondareńko, Zurba, Szydło, Paczeńko, Szwaczka, wszystko zbrodniarze płaceni przez Moskwę, Łupież, mord wszędzie. Hajdamaczyzna, która już wytlała do ostatka, znowu się podnosi i bucha płomieniem za dobroczynnym i cywilizacyjnym wpływem Moskwy, która gniotąc w rękach swoich fanatyzm polski, podnosi szlachetnie i bezinteresownie sprawę wolności sumienia. Mordercy nawracają miłością, to jest po moskiewsku, unią na schizmę. Największa nienawiść spotyka oczywiście kapłanów unickich, bo ci jedynie rozumieją o co tu chodzi. Lud ciemny zawsze jest ofiarą. Ledwie co błogosławił zacnych przewodników, którzy go oświecali, teraz znowu od płatnych zbrodniarzów przyjmuje święcone noże. Oczywiście dojrzeć prawdy ludowi nie pozwalają opiekunowie apostolskiej Katarzyny Wielkiej. (C. d. n.)

---

*) Przypominamy, że to pisane było w r. 1862.

Listy z Anglii.

Sygurda Wiśniowskiego.

(*Ciąg dalszy*).

Powiedziałem na wstępie, iż sezon tegoroczny wlecze się nudnie w Londynie. Gdyby nie kobieta w negliżu, którą dwa razy na dzień wyrzucają z armaty w Aquarium westmisterskiem do wysokości stóp pięćdziesięciu i łapią w sieć podstawioną, gdyby nie kilka procesów skandalicznych i wojna bardzo pobożnych ludzi przeciw rozmaitym zakładom gwałcącym przepisy niedzielne, cały Londyn zajmowałby się tylko mityngami politycznymi, których pełno co dnia i w każdej dzielnicy. Lecz gdy ani Wagner ani wystawy nie zwracają uwagi, reklamy sądowe zapewniły powodzenie niektórych widowisk i książek, nie zostających w związku z kwestyą wschodnią. O kobiecie owej nikt nie słyszał, dopóki nie przyszło na myśl pewnemu humanitarnemu stowarzyszeniu, że strój jej i czynność są nieprzyzwoite i nieludzkie. Wytoczyli więc proces zarządowi Aquarium. Zakład, mówiąc nawiasem, nazywa się Aquarium na wzór *lucus a non lucendo* z tą różnicą, że otworzyła go sama królowa, z pompą nieopisaną, na skład mięczaków i ryb, lecz gdy mięczaki i ryby nie zapewniały świetnych dochodów, wprowadzono do niego kuglarzy japońskich, kobietę—bombę i zjawiska duchów. Nawet i te sensacye nie wyleczyłyby go z chronicznego deficytu. Na szczęście pobożni ludzie wytoczyli mu proces, jak wspomniałem: odtąd robi świetne interesa. Każdy chce widzieć kobietę bombę, proces wlecze się na wzór sprawy osławionej przez Dickens'a, w której waryatka przyrzeka czekać na wyrok do dnia sądnego. Przedsiębiorca zbiera tymczasem fortunę.

Tę samę komedyą odgrywają w innych miejscach. Od niejakiego czasu uwydatnia się w Anglji coraz silniej smak do najohydniejszych książek i inseratów na wzór modelów tego rodzaju, znanych wam z Tagblatów i innych niemieckich gazet. Roślina przesadzona z teutońskiego gruntu tujała dość skromnie w Anglii, aż moralne stowarzyszenia zapozwały ogrodników przed kratki sądowe. Zaledwie że skazano jednego wydawcę na grzywny, zjawiał się drugi; gdyż przedruk potępionych książek nie potrzebował już ogłoszeń, żeby zyskać czytelników. Wreszcie doszło do tego, iż niejaki Bradlaugh, znany agitator i trybun praw wyrobników, podjął się obrony złotej wolności angielskiej przeciw trybunałom. Wybrał najohydniejszą książkę, ostrzegł policyą, że ją przedrukuje, i spełnił przyrzeczenie. Wytoczono mu proces. Dziełko rozeszło się w kilkudziesięciu tysiącach egzemplarzy, a chociażby skazano wydawcę na grzywny, zysk z książki pokryje takowe. Niemniej obrzydliwe piśmidła trudniące się ogłoszeniami małżeństw — także naśladowania niemieckich modelów — spopularyzowały się w podobny sposób. Niektórzy twierdzą, że redaktorowie ich najęli oskarżycieli i płacą kary pieniężne, dla zyskania rozgłosu. Drobne te sprawy uważane są za barometry nowych i niespodzianych prądów, których „stara" Anglia nie znała. Smak „młodej" Anglii wyrodził się jednak.

Stara Anglia nie patrzy na to z założonemi rękoma. Wątpię czy kiedykolwiek w historyi angielskiej walczył konserwatyzm zacięciej i na wszystkich punktach przeciw nowatorstwom. Nic nie ujdzie jego orlemu oku. Kompania kryształowego pałacu w Sydenham traci dużo, z powodu, że musi zamykać swój pałac w Niedziele. Zręcznie podsuwa więc prośbę przed parlament, o uwolnienie swego zakładu z pod rygoru niedzielnego, pod pozorem, iż lud kształciłby się w nim, patrząc na dzieła sztuki i słuchając koncertów z samych utworów kościelnych. Prośba ta wywołała żywszą agitacyą pomiędzy duchowieństwem anglikańskiem, niż kwestya wschodnia. Nie mogliśmy się opędzić od pań biegających z domu do domu, dla zebrania podpisów na petycyi przeciw temu bezbożnemu nowatorstwu. Aquarium w Brighton, rzeczywisty zbiór naukowy, odważyło się otworzyć swoje podwoje w dnie świąteczne. Cała trzoda fanatyków zapozwała zarząd zakładu o świętokradztwo i na mocy jakiegoś prawa z czasów Kromwella czy Karola II, wyprocesowała od towarzystwa wysokie grzywny i koszta. Ogród zoologiczny londyński od dawna postępuje na wzór zakładu w Brighton. Każdej Niedzieli schodzą się tam stateczne tłumy robotników, aby patrzyć na lwy spacerujące po przestronnych podwórzach, hipopotamy, nowego boę, mającego 30 stóp długości i nieliczne inne ciekawości. Jestto jedyny dzień, w którym mogą je oglądać, gdyż w dnie powszednie zamykają ogród przed zmrokiem. Wyrok w sprawie Aquarium zmusi zapewne i zarząd ogrodu do przestrzegania Niedziel, tembardziej, iż spodziewa się wizyty gorylli z Berlina. Niektóre pisma klerykalne piszą już otwarcie, że nie wypada pokazywać pospólstwu zwierzęcia, którego podobizna z człowiekiem może się przyczynić do krzewienia teoryi Darwina (*sic!*) Pamiętajmy, że dzieje się to w Anglii! Widocznie, nie za wcześnie wprowadzono tu przymusowe wychowanie. Niestety, prawa szkolne angielskie oddają niższe zakłady naukowe w ręce sekt do tego stopnia, że owe 3 miliony dzieci angielskich, które uczą się obecnie, nie pozbędą się ciasnych i fanatycznych poglądów swoich rodziców.

Mówiłem, iż walka przeciw nowatorstwom wre na wszystkich punktach. Pomijając powyższe drobne starcia, widzimy ją na arenie parlamentarnej. Zeszłego tygodnia stoczono w izbie panów walną bitwę pomiędzy lordami postępowymi i obrońcami fortecy związku kościoła z państwem. W kraju, który wedle Woltera wynagradza sobie ubóstwo w sosy — Wolter twierdził, że Anglicy spożywają wszystkie potrawy z jednym rodzajem sosu — posiadaniem 39 religii, zdarzają się podobne walki dość często. Niechaj jeno izba niższa ośmieli się wyrzec, że nie widzi nic zdrożnego w małżeństwach wdowców z siostrami nieboszczek żon swoich, albo targnąć się na jakikolwiek przesąd anglikański, pusta zwykle izba lordów zapełni się parami, chociażby niejeden z nich musiał pośpieszyć z Paryża albo Florencyi na obronę wyłomu. Biskupi zjadą się i zasiądą w białych komżach na wyniosłej ławie poza worem wełny lorda kanclerza.

Ława ta przypomina mi zawsze grzędę czystych lilii pośród czerni świeckiej i grzesznej. Ozdoba i ulubieniec anglikanizmu, lord Beaconsfield, przywiedzie legiony rządowe na pomoc zagrożonym biskupom i jak przystało na dobrego neofitę, wyświeci w dwugodzinnej oracyi świętą misyą, izby panów, oraz potrzebę utrzymania związku kościoła i państwa, gdyż sojusz ten barwi od dwu wieków zewnętrzną i wewnętrzną politykę angielską, podpiera tron, konstytucyą i potęgę Anglii.

Na tego rodzaju scenę patrzyłem niedawno. Chodziło o odrzucenie wniosku różnowierców; o zmianę w prawie pogrzebowem. Wedle ustawy obowiązującej obecnie, zwłoki Nie-anglikanów idą do grobu w sposób, w jaki inne narody grzebią samobójców, mianowicie w gminach wiejskich. Gminy te posiadają tylko jeden cmętarz dla sekt niezliczonych. Na taki cmętarz nie wpuszczają kapłanów religii nieuznanych przez państwo; zwłoki heretyków spuszczają do grobu bez modlitw i obrzędów kościelnych, a rodzina zmarłego musi się opłacać opasłemu rektorowi anglikańskiemu. Łatwo pojąć, ile żółci wywołuje taka ustawa. Jednakże wszelkie wnioski przeciwne jej, chociażby nawet poparte większością izby niższej, upadają wobec opozycyi biskupów i parów. Ostatnia walka tego rodzaju zajęła mnie tem bardziej, iż śledziłem jej wrażenie na ambasadorze chińskim, który patrzał na nią z galeryi dyplomatycznej i kazał sobie tłumaczyć wszystkie argumenta mowców. Powierzchownością przypominał mi ten dygnitarz zasuszonego komara. Strój jego i obejście odbijały dziwnie od europejskiego otoczenia. Jeżeli się nie mylę, dostrzegłem uśmiech pogardliwy na obliczu tego przedstawiciela 60-wiekowej cywilizacyi, gdy panowie w sali omal za łby się nie wodzili, spierając się zażarcie o sposób chowania heretyków. Debaty religijne narażają na ciężkie próby nawet takt parów i biskupów angielskich, a izba lordów przypomina czasem parlament wersalski.

W dniach nieożywionych takiemi sporami przedstawia ta izba widok nieopisanie nudny. Parę tuzinów podtatusiałych gentlemanów niknie na długich, pąsowych ławach, w półzmroku ogromnej sali. Mówca zniża swój głos do tonu cichej rozmowy. *Dizzy**) krzyżuje ramiona na piersiach i skłania głowę, jakby do drzemki. Lord kanclerz drzemie bez wątpienia. Zdarza się nawet, że oprócz mowcy i marszałka (lorda kanclerza) nie ma żywej duszy na ławach. Dzieje się to mianowicie, gdy izba odgrywa rolę najwyższego trybunału i tylko baronowie prawa (sędziowie) zebrali się na posiedzeniu. Panowie ci znają cały tok sprawy, więc wynoszą się do bufetu, powracając po argumentach adwokatów, aby złożyć głosy.

Nawet debaty polityczne nie ożywiają tej izby. Mowy wloką się tu na kształt żółwich, krętych rzek australskich i toną w piaskach ogólnego poziewania. Dizzy, którego pamiętam z lat dawniejszych, w izbie niższej, zawsze z gotową odpowiedzią na ustach, złośliwą, sardoniczną, gruchoczącą rywala, chociażby rywal ten nazywał się Gladstonem, nawet ten d'Izraeli powtarzam, przestał być samym sobą, od kiedy mitra spoczęła na jego czole. W izbie niższej świecił na kształt słońca, tu albo przyćmił go odblask tronu po za worem lorda kanclerza, albo przygniata oczucie, że koniec końcem jest on tylko awanturniczym kometą, zagnanym zbiegiem okoliczności pomiędzy najdumniejszą arystokracyą na kuli ziemskiej. (Dok. nast.)

*) Tak zowią Disraelego.

Tydzień lwowski.

XVII.

Ubiegły tydzień powitany wieńcami i gałązkami majowych krzewów, wcale niedopisał na-

*

szym wiosennym życzeniom. Urocza wycieczka do Węgier, z przyczyny spadłych deszczów, które naruszyły nasypy kolejowe, musiała być odłożona na dzień 3 Czerwca; festyn z loteryą na Wysokim zamku zgromadził zaledwie kilkadziesiąt osób — a i inne zabawy i majówki nie wiele lepiej się udały. Za to przynajmniej wycieczka włościan do Rzymu, może lepiej się powiedzie... Nie życzymy „pielgrzymom" kolejowym szczęśliwej drogi, bo nie wątpimy, że będzie szczęśliwą — ale życzymy im szczęśliwego powrotu, bo nie wiemy czy będzie równie pomyślnym...

* * *

Miasto nasze powitało znowu miłego gościa, którego pragnęlibyśmy na zawsze zatrzymać. P. Józef Rychter przedwczoraj występował już w „Córce Rolanda" a w krótce ujrzymy go w „Iwanie Groźnym" i w „Zemście".

* * *

(B.) Z powodu braku miejsca musieliśmy, aż na dzisiaj odłożyć wzmiankę o śmierci i pogrzebie ś. p. *Łukasza Skerla*, sędziwego „towarzysza" sztuki drukarskiej, honorowego dyrektora stowarzyszenia „Gwiazdy" jednego z jej założycieli a zarazem jednej najsympatyczniejszych postaci w kole rękodzielnictw Lwowa. Pogrzeb odbył się przy współudziale wszystkich warstw społeczeństwa naszego. Tuż za trumną, którą niesiono na ramionach, towarzyszyli rodzinie zmarłego obaj prezydenci miasta Lwowa pp. Jasiński i Madejski, — zasłużony obywatel Alfred Młocki, prezes „Gwiazdy" M. Darowski, właściciele drukarni, księgarze i literaci. Ś. p. Łukasz Skerl, w młodym wieku przybył do Lwowa, i od razu przylgnął do nowej swej ojczyzny. Słowianin z rodu, choć zniemczony przez kulturtregerów, z trudnością łamał się początkowo z mową polską, w której potem nabył tak niepospolitej wprawy i płynności, że był jednym z pierwszych oratorów w „Gwieździe". Ileż to razy, opowiadał zacny starzec przygody swoje z tuziemcami, których nie rozumiał i nawzajem nie był od nich rozumianym. Ileż pociesznych *qui pro quo* miał w życiu, zanim pokonał trudności tego języka który miał mu być potem nie macoszą ale niemal macierzystą mową.

— Teatr, był dla mnie elementarną szkołą języka polskiego, opowiadał nieraz. Każdy zaoszczędzony grosz, szedł do kasy teatralnej, a a żem był ciekaw bardzo przedstawianej sztuki, przeto, każdy niezrozumiały dla siebie wyraz, notowałem w pugilaresie i uczyłem się go za powrotem na pamięć. Takim sposobem ułożyłem sobie mój własny słownik języka polskiego, do którego nieraz potem udawałem się po radę. A Boże odpuść, jak on był pisany! O ortografii, mowy być nawet nie mogło. Przypominam sobie, jak w jednym wyrazie „bądź" zrobiłem aż trzy błędy.

— A jakżeż dalej szło panu? Zapytałem.

— Ej, — szło to powoli, bardzo powoli, czułem brak nauczyciela i dla tego też postanowiłem dostać sobie „żywą gramatykę."

— Żywą gramatykę? zawołałem — ależ ja po raz pierwszy o takiem dziele słyszę. Gdzież ono wyszło?

— Wyszło mój panie z domu poczciwych rodziców, a miało tytuł Antosia...

— Więc się pan ożeniłeś?

— Tak panie, i każdemu radzę to zrobić, kto natrafi na trudności gramatyczne.

Innym razem, opowiadał mi zacny pan Łukasz, jak przyszedł w deputacyi od „Gwiazdy" do Wincentego Pola. Ociemniały wieszcz, wypytywał się troskliwie każdego o wiek i zajęcie.

— Ja, rzekł Skerl, mam zaszczyt znać cię szanowny wieszczu od lat bardzo dawnych, — ja pierwszy bowiem, pierwsze twe utwory poetyczne składałem w drukarni Pillera.

— Nie może być! — zawołał Pol. Ten który składał moje poezye, *nie umiał wcale po polsku* i dość z nim miałem kłopotu — a pan mówisz tak czystą polszczyzną jakbyś był rodowitym polakiem.

— Tak jednak jest jak twierdzę — odrzekł Skerl. I opowiedział Polowi przygody swoje językowe, poczem obaj starcy uścisnęli się serdecznie.

O twórczości poetyckiej

przez

Juliana Ochorowicza.

(*Ciąg dalszy*).

Drobiazgowość w opisaniu uczuć nietylko nie szkodzi, ale często bardzo stanowi siłę i wdzięk, dając prawdę w formie prostej a uroczej, podczas gdy drobiazgowość w opisywaniu wrażeń objektycznych, obojętnych jest nużącą. Jeśli jednak poeta zapomina o tej prostocie, jeśli w akordach jego lirycznego wylewu uczuć odezwie się samolubna próżność—wówczas sympatya czytelnika słabnie i wrażenie mija się z celem. Możemy to okazać na pięknym w ogóle wierszu Władysława Ordona.

Poeta skarży się, że go nikt nie kocha. Opis swych uczuć rozpoczyna skromnie i rzewnie bez przymieszki samolubstwa i odrazu budzi w nas sympatyję:

Boże widzisz, że z prostotą
Mówię, jak dziecko do Ciebie:
Nie o gwiazdę proszę złotą,
Ni o miejsce w Twojem niebie,
Ni o ludzkich dóbr obfitość,
Ni o ziemskich pragnień sytość;
Och, nie o to, krwawo, z głębi,
Dusza moja prosząc szlocha,
Ojcze kwiatów i gołębi,
Nikt mnie w świecie, nikt nie kocha!

Opowiada dalej, jak serce mu zamiera, jak bez echa pozostają skargi jego, i podczas gdy wszechświat cały drzy miłością, dla niego życie jest macochą. Następuje piękny liryczny obrazek — pełen prawdy:

Szedłem dzisiaj, mrok zapadał:
Z ziemi wonie szły w niebiosy,
I srebrnemi słowik głosy
Głosom lubej odpowiadał:
Ja bluźniłem wdziękom wiosny,
A pierś miałem pełną krzyku:
Przestań, przestań bezlitośny,
Nikt nie kocha mnie, słowiku!

Współczujemy z poetą, bo wyraża uczucia, które i nam nie są obce — ale on tymczasem uderza w obcą nam już strunę samolubnych jego pragnień i z prostoty wpada w próżną goryczą:

Zacne we mnie — w brud się mieni,
Słodkie we mnie — w kwas się kwasi,
A co we mnie jest z płomieni
Tajemniczy podmuch gasi;
I w mej pięknej śpiewnej duszy
Mierność jakaś siada płocha,
Więdnę jako kwiat od suszy:
Nikt mnie, sztuko, nikt nie kocha.

Autor mówiący „o swej pięknej, śpiewnej duszy" już przestaje nas wzruszać, zwłaszcza gdy zaczyna kłopotać się o to, że „zbrzydł twarzą", że „głos jego kąsa", a „w oczach wyraz tkwi złośliwy" — wszystko to nic nas nie obchodzi. Ale autor odzyskuje na nowo pierwotną prostotę, i z głębi sympatyczniejszych uczuć wysnutem zakończeniem przejmuje nas i wzrusza:

Cicho!.. postać z mgieł uwiana
Przezroczysta, słodka, blada
Szlakiem mlecznym ku mnie spada...
Przyczesane włosy gładko;
Czarną suknią wiatr powiewa,
Białą i chudziuchną ręką
Widmo mnie do siebie wzywa:
Matko!! snuż to mara płocha?

Czy ty jesteś! moja! żywa!?
Znika... Czekaj!.. matko! matko!
Matko, nikt mnie tu nie kocha!

Mimo fantastyczności przedstawienia jest w tym okrzyku boleści prawda życiowa, poeta więc trafia do serca. Któż bowiem w życiu nie czuł się choć przez chwilę osamotnionym i opuszczonym? A poezya, która nam te niewysłowione przez nas uczucia odtwarza, przynosi ulgę; raz dla tego, że pomaga nam wypowiedzieć choćby przed samym sobą, to na co nam słów brakło, powtóre, że niejako usuwa nasze odosobnienie, po trzecie, że uspokaja harmonią rymu i rytmu.

Prawda wewnętrzna nie wyłącza bynajmniej przesady właściwej poetom, — ale jakaż to ślizka droga dla miernych talentów!

W opisie np. ukochanej kobiety nie potrzebuje autor koniecznie przedstawiać nam jej tak pogospodarsku, jak to nieraz czyni El-y w najpiękniejszych swoich obrazkach, nie potrzebuje nam koniecznie mówić, że „Sukienkę miała perkalikową w paseczki", może on owszem w formie, w akcesoryach użyć tej przesady, która dodaje siły; ale zrobi *fiasco* jeżeli tłem jej, podstawą, nie będzie naturalny zapał uczucia, lecz sztucznie wypracowany efekt. Tak np. każdy lubi różę i chętnie zgodzi się na różnorodne poetyckie uniesienia nad jej pięknością, ale gdy nam Kasper Lohenstein zacznie wyliczać, że jestto „królowa ziół i kwiatów, narzeczona niebios, obrona świata, dziecię gwiazd, za którem wzdycha miłość, do którego tęskni słońce... której blask wstydzi rubin, której sok czyni gorzkim cukier*)" i tak dalej, to ostatecznie zamiast uwielbienia śmiech tylko wywołać musi. Tymczasem siła prawdziwie poetycka chociażby wszechświat cały stawiała z jednej strony a przedmiot ukochany z drugiej, jeszcze nie wywoła przesytu i niesmaku, byle tylko tętniła w niej: psychologiczna prawda uczucia. Weźmy np. uniesienie Słowackiego, gdy woła:

Bo ja.. ach gdybym był także aniołem,
Z rozpromienionem na błękitach czołem,
I nieskończoność całą miał obszarem,
I mógł rozrządzać gwiazdami wszystkiemi, —
Niechciałbym gwiazdy niebieskiemi świecić,
Lecz tylko rzucić błękity — i lecić —
I taką jak ty mieć, moją, na ziemi!

Trzeba przyznać, że zamach uroczysty, a jednak, ta przesada formy służy tylko do uwydatnienia prawdy uczucia. On czuł to co mówił. Albo gdy „Demon" Lermontowa obiecuje kochance, że zrobi jej szarfę z łuny jutrzenki, że w około

*) Porównaj estetykę Lemckiego w przekładzie Bron. Zawadzkiego.

niej roztoczy najmilsze wonie i melodye, że jej wystawi zamki z bursztynu, róż i turkusów, gdy woła:

Dla ciebie będę bujał po niebie
Dla ciebie w morskiem utonę dnie,
Ziemię i niebo oddam dla ciebie
Lecz — kochaj mnie!

To i tu widzimy tylko siłę wyrażeń malujących siłę uczucia. A jeśli się zapytany na czem polega ta *siła*, to łatwo będzie przekonać się, że polega ona na przeciwstawieniu całych szeregów rozległych, daleko sięgających obrazów, jednej drobnej myśli, która tym sposobem zrównoważona, rośnie, potęguje się w naszych oczach, i staje jak ogrom przed wyobraźnią czytelnika.

Skojarzenia na zasadzie kontrastu odgrywają olbrzymią rolę w twórczości poetyckiej, zarówno w wyrażaniach, jak w obrazach, jak w całej wreszcie osnowie sztuki. Bez przeciwieństw nie byłoby poezyi. Gdy Mickiewicz mówi że „wylewa burzę swych uczuć we łzy roztopioną“ to siła tego wrażenia leży właśnie w skojarzeniu czegoś tak groźnego jak burza, i czegoś tak cichego, jak łza. Albo gdy mówi, że „mędrcy ostrzyli na księgach swe *rozumy* zimne i twarde jak *miecze* ze stali,“ to i tu siła polega na upatrzeniu związku w rzeczach tak różnych jak chłód rozumu i chłód stali. Tak samo w całych zwrotach; gdy Byron mówi:

Grecya jest księgą
W której wiekami stoi napisano
Że klęska wolnych jest świata wygraną.

to siłę wyrażenia stanowi skojarzenie przeciwieństw klęski i wygranej. Inne przykłady:

Ludzkości! ty Atreusza rodzie!
. . . .
Tyś sama sobie katem i ofiarą
I padasz w proch, kiedy kroczyć chcesz zwy-[ciężko,
I tryumf twój jest dla ciebie karą,
I zwycięstw szał jest dla ciebie klęską.
(El-y).

Ty, co żelazne nosisz sztaby,
Słuchaj! ja mówię żeś ty słaby,
Ty co oblokłeś jedwab drogi,
Słuchaj! ja mówię żeś ubogi.
Ty, jak pergamin mędrcze trupi,
Słuchaj! ja mówię żeś ty głupi.
. . . .
(Ujejski).

Albo czy może być coś silniejszego jak owo przekleństwo kochanki Słowackiego, w którem wzrost siły poetyckiej warunkują coraz to gwałtowniejsze przeciwstawienia:

Ogniem, żałością wre zamknięte łono,
Lecz gdy się zacznę na me serce dąsać,
Chciałbym je wyrwać z mej piersi i skąsać
I precz odrzucić tę rzecz tak zhańbioną
Twoją miłością, że ognie co płoną
Dotąd nie mogły go uczynić czystem —
A ty myślałaś, że ja z tem ognistem
Sercem nazwę cię kochanką i żoną?!
O raczej piekło! niżby czoło dumne
Na twojem zimnem łonie kiedy spało,
A niż całować twe usta rozumne,
I twoje białe, marmurowe ciało
Owionąć ogniem i żyć z taką skałą
Jaką ty jesteś, zimna! — Lepiej w trumnę!

Ale nietylko w burzliwych wybuchach, poezya wyraża się zestawieniem przeciwieństw, czemkolwiek do siebie zbliżonych; i w chłodnem rozumowaniu i w gorącej lecz spokojnej miłości, przeciwieństwa najżywiej działają na uczucie. Weźmy np. chłodne ale pełne siły rozumowanie Deotymy na temat „piorunu“, gdy tak do nas przemawia:

Człowieku! on już nie tajemnicą;
Nie drzyj przed matką: tyś burzy syn!
W tobie wre także trójca gromowa:
Myśl — błyskawicą,
Grzmotami — słowa,
Piorunem — czyn!

A oto znów zestawienie przeciwieństw w rzewnym miłosnym obrazku:

A pod tym progiem fala tak się toczy
I tak swawolna i taka ruchoma,
Że wzięła w siebie dwa nasze obrazy
I przybliżyła łącząc je rękoma —
Chociaż nas tylko łączyły wyrazy!
Ach! fala taka szalona i pusta
Że połączyła nawet nasze usta —
Choć sercem tylko byliśmy złączeni!..
Fala tak pełna ruchu i promieni,
Że jednym światła objąwszy nas kołem
Zmieszała — niby anioła z aniołem.
Gdy myślę, boleść dręczy mię niezmierna
Falo, niewierna falo! — a tak wierna!

Spokojniejszy ton tego ustępu wynika z mniej ostrych sprzeczności, a siła wzrasta dopiero w ostatnim wierszu. Gdyby chodziło o wykrzyk gwałtowny, kontrasty musiałyby być silniejsze:

„W walce z tem piekłem świata, co się złości,
Zawsze i wszędzie bądź siłą, co skłania
Nad śmierć silniejszą siłą ukochania —
Bądź piekłem miłości“.
(Krasiński).

„O tak... to los mój na grobowcach siadać
I szukać smutków błahych, wiotkich, kruchych
To los mój — senne królestwa posiadać
Nieme mieć harfy i słuchaczów głuchych,
Albo umarłych.
(Słowacki).

Tu sprzeczności dodają siły, ale gdy poeta nie umie zachować w nich miary i zbyt gospodaruje po wszechświecie, wówczas bardzo łatwo zdarzyć się może, że wyobraźnia czytelnika za nim nie podąży, lub co gorsza uczuje się oszukaną. Tak np. już gdy Krasiński zacznie się rozanielać, z kochankami w niebo latać, włosy splatać i rozplatać, to nieraz niewiemy doprawdy co począć z naszą zamąconą i rozpierzchłą fantazyą:

Nieskończoność mnie obleje,
I jak ptak w nieskończoności
Błękit skrzydłami rozwieję
I lecąc się rozemdleję
W czarnej nicości.

Ta *czarna nicość*, to *rozwiewanie błękitów* za rzekomym przykładem ptaków, wszystko to jakoś niewyraźne, a cóż dopiero gdy np. jeden z mniemanych poetów takie przeciwstawienia nagromadza, mając zamiar przedstawić nam potęgę myśli:

„Miła tęsknica, bystra lotnica:
Harmonia dźwięków: liczb mądry zbieg
Liczba wszechtworu wielka sprężyna
Światła, koloru tajna przyczyna (!)
Dźwignia wszechrzeczy... przestrzeni brzeg (!)

Każdy przyzna, że w tem wiele szumu, nie wiele poezyi, a jeszcze mniej sensu, mimo że przeciwstawienia są — ba! i jakie! *tęsknica — lotnica, dźwignia wszechrzeczy* i *przestrzeni brzeg!* Albo dalej:

Gdzież jej początek, tajemny wątek
Co *jaśń* duchową i życie ma?
Naturalista bada puls głowy
Ale *tajń* mglista fosfor mózgowy
. . . .

Na resztę rzućmy czarną zasłonę — chociaż jest tam jeszcze i „*gaz* chrześcijanizmu“ i inne piękne skojarzenia sprzeczności „duchem owiane a umem porwane“.— Dlaczego takie zestawienia nazywamy niedorzecznemi? Bo w nich brak prawdy i prostoty, a jest tylko sztuczna łatanina i silenie się na oryginalność. Bo jak trafnie mówi Brodziński w swoim wierszu o sztukach pięknych:

Ciężka prawda wnet utonie
Gdy jej sztuka nie pomaga —

Ale też z drugiej strony:

Lekką sztuką wiatr powionie
Gdy w niej prawd nie cięży waga.

Przeciwnie, nawet bardzo odległe wyobrażenia mogą być skojarzone z efektem jeśli tylko jest między niemi łącznik prawdziwy wspólnego związku.

Tak np. dwuwiersz arabskiego poety:

Gwiazdy patrzą się wiecznie, bo nie mają powiek
Znużonych bezsennością, jak podróżny człowiek —

nie razi nas skojarzeniem tak różnych wyobrażeń jak „gwiazdy“ i „podróżnego“, ponieważ autor umiał śmiałym lecz naturalnym zwrotem upodobnić dwa te wyobrażenia. (C. d. n.)

POGADANKI.

XXXIII.

Nie pamiętam już, który to z łacinników powiedział, że *inter arma silent musae*, co się po polsku tak wykłada, że w razie wojny pan frajter Wojtowycz „więcej mają do gadania, aniżeli każdy cywil,“ chociażby cywil ten nazywał się Homer, Dante, lub Mickiewicz. Twierdzenie to uchodziło dotychczas za pewnik w świecie naukowym i nienaukowym, i powtarzali go ci co po łacinie umieją, jakoteż i lwowscy literaci. Otóż przeciwko temu dogmatowi, zaprotestować muszę dzisiaj, w chwili bowiem właśnie gdy nad Euksynem i Dunajem rozlega się huk dział i Snidersów, rozbiła się u nas cała szkuta poetów, którzy wyśpiewują sobie i nam w najlepsze, nie zważając na to wcale, iż jak nam doniosły *Telegramy* pewnego dziennika, Moskal jakiś w hotelu Kuhna stuknął laską we drzwi, w chwili kiedy go budził numerowy, a stuknął tak gwałtownie, iż zaalarmował nietylko p. Strachajłę ze *Szczutka* (nowy kolega *Lwowskiego polityka*) ale nawet i całe nasze miasto.

Niektórzy z tych poetów dosiadają politycznego pegaza, i tak, opiewa niejaki p. „*b. cz.*“ (małe *b*, i małe *c!*) zdarzenie, które miało zajść pod Ardahanem, a które tak jest oryginalnem, iż je tu powtórzyć muszę.

Proszę sobie najprzód wyobrazić krajobraz oryentalny, mniej więcej kulisy z piątego aktu *Afrykanki*. Zachodzące słońce oświeca pobojowisko, na którem w bliskiem od siebie oddaleniu leżą dwa trupy: jeden w płaszczu tureckiego spahisa, drugi w moskiewskiej szyneli. Na znak dany przez reżysera zmartwychwstaje trup w płaszczu turec-

kim, i woła najczystszym zamarstynowskim dyalektem: „O Boże!“ Usłyszawszy słowa te, zmartwychwstaje trup w moskiewskiej szyneli, wyciąga zegarek z kieszeni, i spojrzawszy która godzina, mówi najczystszym radomskim dyalektem: „Jest właśnie siódma godzina, mam więc jeszcze trzydzieści minut do życia; a że od lat dziewięciu nie słyszałem ojczystej polskiej mowy, więc proszę cię miły spahu, powiedz mi na prędce jaką bajkę. Wtedy trup w tureckim płaszczu, myśląc że ma przed sobą Moskala, zaczyna mu prawić długą tyradę na temat programu *Dziennika*, starając się w ten sposób wywiercić mniemanemu wrogowi dziurę w brzuchu. Trup w moskiewskiej szyneli jednakże, nie mogąc wytrzymać tej operacyi, przerywa to kazanie w najpiękniejszem miejscu, wołając: „Człowieku, co ci jest, daj spokój! Ja nie jestem żaden federalista, ani Wagneryanin, ani redaktor *Kroniki Codziennej* albo *Czasu*, tylko Maciek z pod Radomia, przemocą ubrany w tę szynelę“. — „Ha, kiedy tak — odpowiada tamten — to powiedz że mi w co ty wierzysz?“ We wszystko w co wierzy niedzielna kronika.— To co innego! Masz więc tutaj krzyżyk złoty; oddasz go mojej matce w Zamarstynowie, domu numer 15, na lewo pierwsze drzwi, i powiesz jej, żem zginął tutaj, walcząc w obronie islamu To rzekłszy, umiera trup w tureckim płaszczu po raz wtóry, trup zaś w moskiewskiej szyneli woła jednokonkę, aby go czemprędzej zawiozła do Zamarstynowa, lecz w tej chwili bije pół do ósmej na bernadyńskim zegarze i Maciek z pod Radomia umiera po drugi raz.

Na tem koniec?... Nie, jeszcze nie koniec! Każdy polityczny poemat powinien zawierać jakiś obrok duchowny, — otóż p. *b. cz.* przypiął do tego utworu swej politycznej muzy, jako wniosek, zapewnienie: „że Polska będzie!“ Kiedy? tego wieszcz ten nie powiada, lecz z opowiedzianego tutaj poematu wypływa to jasno: „Polska będzie! potrzeba tylko żeby połowa Polaków poszła w moskiewskie sołdaty, druga w tureckie spahy, i żeby się wzajemnie wybili co do nogi.“

* * *

Nowy obrazek! nowy poeta!... Z powodu spóźnionej wiosny, nie w marcu, lecz dopiero w kwietniu roku 1877 wyśpiewał p. Longin Illasiewicz w *Ruchu Literackim* wiersz pod napisem *Pobudka*, w którym zaprasza naród do wzięcia udziału w wycieczce towarzyskiej, mającej się odbyć łódką uwieńczoną kwiatami „w brzaskach przedświtu“ po „zdradnej i głębokiej fali oceanu życia.“ Dla wygody P. T. publiczności postarano się o smaczną kuchnię, i dobrze zaopatrzoną piwnicę, jednostajność podróży zaś urozmaicać będzie muzyka, spiew i różne fajerwerki. Jak powiedziałem, zaproszone są wszystkie stany.

Tylko nie chcemy już dyplomaty!
Ultramontańskiej nie weźmiem *ćmy*.
Co Chrystusowe przybrawszy szaty
Ludów krew pije, mrozi ich kwiaty (!)
I nienawiści rozburza *dmy!* (?)

Dość już tych matactw dyplomatycznych!
Kołowaciżny wszelkiej świat syt;
Nie trzeba odtąd żadnych wytycznych,
A patrzcie tylko mgnień błyskawicznych
Któremi gore zbawienia świt.

Kwiaty ludów! Dmy nienawiści! Uff!!!

Parlez moi donc français mon pauvre capucin,
Car dans le grand monde j'ai pu bien oublier mon latin.

* * *

Trzeci poeta!... O tego się z pewnością nie będzie spierać siedem miast tak jak o Homera, ażeby bowiem użyć robotę przyszłym swoim biografom, wieszcz ten podpisuje utwory swoje parafą: Stefan z Opatówka.

Otoż śpiewakowi temu, jak się również z *Ruchu* dowiedziałem, zdarzyło się w Strążyskiej dolinie coś niesłychanego. Nie myśląc o niczem „szedł, gdzie oczy niosły, byle od ludzi zdala;“. szedł, szedł. aż zaszedł pod skałę. Spojrzał na nią, a widząc, „że stoi tak spokojna, twarda wciąż i zimna,“ począł jej zazdrościć, i rzekł: „O szczęśliwa! nie cierpi, bo nie kocha!“

Skała, jak się pokazuje gorąco kąpana, wzięła to krzywo, i palnęła mu za to siarczystą reprymendę:

O! wszystkowiedzu mały, przemądrych ludzi pośle!
Wzdychaczu i miękiszu ze wstydem stłum tu żale,
Bo skała się w piorunie, a piorun kocha w skale!
Miłością świat się trzyma, odtwarza się wzajemnie
Miłością trawi z czasem... ot bierz przykład ze mnie.

No, i wdajże się tu ze skałą w dyskursa!

Usłyszawszy tyle grubiaństw „zdumiał“ pan Stefan z Opatówka, poszedł do domu i napisał poemat. Co do mnie to przyznam się państwu, że wątpię, aby mi się zdarzyło kiedy zajście takie z jaką skałą, bo najprzód wolny jestem od zazdrości, a powtóre nie wdaję się ze skałami w konwersacyą. Ale gdyby mi kiedy skała jaka powiedziała: „Ty wzdychaczu i miękiszu“ — to słowo honoru daję, żebym ją wyzwał na pojedynek.

Włodzimierz Zagórski.

Piśmiennictwo polskie.

(*Czego naszemu miastu potrzeba? Dla użytku obywatelstwa napisał Radny miasta Lwowa. Nakładem drukarni Gazety Narodowej we Lwowie 1877, str. 54 w 8ce.*)

(*Teofil Merunowicz: Rozwój miasta Lwowa. Nakładem Wład. Bełzy, we Lwowie 1877 — str. 150 — w małej 8ce*).

Prawie równocześnie pojawiły się dwie te broszury — pierwsza w przedruku z „Gazety Narodowej,“ druga ze ś. p. „Kroniki Codziennej,“ a że obie jednym sprawom są poświęcone, przeto łączymy je we wspólnej o obu wzmiance.

O pierwszej można powtórzyć dawne, ale zbyt często dające się zastosować zdanie, że co w niej dobrem jest, nie jest nowe, a co na nowość zakrawa, nie jest wcale dobrem. Że należy założyć szkoły: fachowo - przemysłową, handlową, wyższą żeńską, rozwijać dalej szkoły pospolite już istniejące, i założyć jednę jeszcze nową, przestrzegać energicznie wykonania ustawy o przymusie szkolnym itp. rzeczy to dawno znane i aż do przesytu powtarzane. Wchodzą one też zwolna w wykonanie — a to słowo „zwolna“ nie zadziwi nikogo, kto znając stosunki naszego miasta wie, jakie finansowe trudności ma gmina do zwalczenia, jak samo uporządkowanie i lepsze niż dotąd użycie majątku gminnego wymaga dłuższego czasu, zanim gmina będzie mogła dochody swe tak podnieść, by wszystkim tym potrzebom uczynić zadość, jak nakoniec wiele i z jakiemi ofiarami w ostatnich latach dla sprawy szkół i oświaty w mieście naszem zdziałano.

Co do nowych zaś pomysłów, jedne z nich są niewykonalne, inne niczem umotywować się nie dadzą. Pytamy np. jaką racyą bytu miałaby osobna dla miasta Lwowa kasa oszczędności, skoro oprócz licznych zakładów bankowych i towarzystw zaliczkowych przyjmujących wkładki oszczędności — mamy we Lwowie kasę galicyjską, która wybornie zadanie swe spełnia? Albo na co miasto miałoby ze swych funduszów tworzyć osobny miejski zakład ubezpieczeń, skoro krakowskie wzajemne Towarzystwo ma tu filią, która potrzebom tym zupełnie czyni zadość? A powinno być p. Radnemu miasta Lwowa wiadomem, że każdy zakład ubezpieczeń tem lepiej spełnia swe zadanie, i tem większe interesowanym daje korzyści (szczególniej zaś zakład wzajemny), im szersze koła ogarnia; że zakład w całym kraju działający, o wiele ma korzystniejsze warunki, aniżeli lokalny. Ubezpieczenie każde jest rozdziałem ryzyka na wielką liczbę — oczywiście zatem ryzyko jest tem mniejsze, im większa liczba tych, na których spada, szczególniej że podstawą obliczenia każdej asekuracyi jest rachunek prawdopodobieństwa oparty na w i e l k i c h liczbach. Żąda dalej szan. autor, ażeby dotychczasowy majątek gminy rozdzielić na ogólny, i na specyalny majątek ludności chrześciańskiej. Jest to według ustaw niemożliwem — jest zarazem niezgodnem z dzisiejszym stanem rzeczy, skoro pojęcie gminy obejmuje zarówno chrześciańską jak i izraelicką ludność; a poruszenie tej sprawy wywołałoby niepotrzebnie i ze szkodą dla narodowych i socyalnych stosunków naszych, spory przed dziesięciu laty toczone, a odtąd już szczęśliwie zażegnane.

Ulubioną jednak myślą autora jest *reorganizacya* — i to wszystkiego: rady miejskiej, magistratu, izby obrachunkowej itd. — zmiana wszystkich statutów, regulaminów, instrukcyj. Jaka zaś reorganizacya, jaka zmiana, tego pomimo dwukrotnego i bardzo cierpliwego odczytania odnoszących się do tej sprawy ustępów broszury, nie mogliśmy wyrozumieć. Może więc czytelnik zrozumie to np. że autorowi potrzeba: „prawdziwie autonomicznej zwierzchniej władzy miejskiej, którąby pilnując jej pieczy poruczony ogół (pilnując poruczonego ogólu — chciał pan Radny powiedzieć) interesów miasta, i potęgując ruch społeczny, rozwijający się z autonomicznego ustroju gminy, pielęgnowała rozkwit wszystkich warunków życia społecznego!“ Ten „rozkwit warunków“ tak nas zachwycił, że nie możemy powstrzymać się od przytoczenia jeszcze jednego ustępu broszury, odnoszącego się także do „reorganizacyi.“ Na str. 30 powiada autor: „Ta dążność ześrodkowania całej działalności w ciele tak licznem, musi już siłą własnego ciążenia potężnieć, a opór i dynamiczne oddziaływanie sił, musi spowodować wirowy ruch cząsteczek, skutkiem tego powstaje zamęt wewnątrz ciała, a bezwładność i bezowocność na zewnątrz.“ Po przeczytaniu tego ustępu, sama się nasuwa odpowiedź na zapytanie postawione w tytule broszury: Czego naszemu miastu potrzeba? Oto potrzeba przedewszystkiem innem, aby nie było „zamętu wewnątrz“ tych, którzy miasto reorganizować chcą i zbawiać.

O wiele pozytywniejszą i pożyteczniejszą jest praca p. Merunowicza. W ośmnastu artykułach, napisanych bez wielkiej pretensyonalności, ale też i bez „zamętu wewnątrz“ — autor przedstawia dodatnie i ujemne strony stosunków miasta naszego i podaje niejednę zdrową myśl naprawy. Opiera zaś pracę swą nie na teorjach, ale na pozytywnych danych, na źródłach statystycznych. Autorowi nie chodzi o nowe pomysły, ale budować on pragnie na danym gruncie, a chociaż czasem zapomina o stosunkach finansowych miasta, jak np. w projekcie drogi obwodowej (Ringstrasse), która o wiele przekraczałaby siły pieniężne gminy – jednak w ogóle wskazówki i rady jego odznaczają się tem umiarkowaniem, które w sprawach administracyjnych jest niezbędnym warunkiem wykonalności. Z całej broszury wieje szczere przywiązanie do tego naszego miasteczka, które stało się ogniskiem umysłowego i narodowego życia prowincyi. Pracę p. Merunowicza, napisaną stylem przyjemnym i potoczystym, zalecamy każdemu, kto chce się zapoznać ze stosunkami miasta, i pragnie a może wywrzeć wpływ pewien na pomyślny ich rozwój.

Z. Z.

Tydzień Warszawski.

VIII.

Zielone Świątki dla warszawian to uciecha nie lada — są to bowiem dnie specyalnie poświęcane na wycieczkę do Bielan, i począwszy od niedzieli rok

rocznie tłumy głodne wrażeń i świeżego powietrza „idą lądem, płyną wodą“ — „i czy słońce lśni pogodą, czy na niebie gwiazdy świecą, czyli burza z błyskawicą“ przez całe trzy dni świąteczne na drodze do Bielan roją się piesi, jezdni i powozowi, a w przystani statków parowych ścisk i deptanie nóg jak w dzień sądny. Nigdy jednak wycieczka nie wypadła tak haniebnie jak w ubiegły poniedziałek. Nietylko bowiem była „burza z błyskawicą“, ale formalny potop i nawałnica tak straszna, że niejednemu na cały rok odechce się świeżego powietrza. Ranek był wprawdzie pochmurny, ale około południa zaczęło się wyjaśniać, i promienie słońca dogrzewając wprawiły w ruch tysiączne tłumy amatorów majówki. Cztery statki parowe ledwie zdołały zabrać podróżnych. Bielany zawrzały życiem. W około kościółka Kamedułów skupili się pobożniejsi, a mniej pobożni rozłożyli się po lesie, wydobywając przekąski, butelki, samowary i przyrządy do gier najrozmaitszych. Majestatyczny głos organów i pieśni kościelnych mięszał się z rozdzierającym uszy wrzaskiem kilkudziesięciu katarynek, ze skrzypieniem karuzeli, huśtawek i młynów djabelskich i z wesołemi okrzykami podchmielonych panów majstrów. Damy z powozów lornetowały tłumy, rzucając od czasu do czasu znaczące spojrzenie na młodzież jeżdżącą po łacinie przy powozach... gdy w tem, około godziny 2giej jak nie zagrzmi, jak nie lunie, aż się coś zagotowało nad głowami. Powstał okropny popłoch, rozbijano się nad brzegiem, ażeby się dostać na pokład statku i co prędzej odpłynąć do domu. Około 5tej zaczęło się znowu wyjaśniać, ale nie na długo. Ulewa wybuchnęła znowu z taką siłą, jakiej najstarsi ludzie nie pamiętają. Co się tam działo na Bielanach, czują jeszcze dzisiaj ci, co tam byli — a wracając o mało jeszcze nie potonęli w skutek wypadku; ze statku bowiem „Andrzej“ spadło koło i podróżni musieli się przesiąść na inny parowiec, który nadbiegł z pomocą. Ale dość wspomnieć o tem co się działo w samem mieście. Woda dosłownie zalewała ulice, do tego stopnia, że jednego z rozweselonych majowkowiczów o mało nie zaniosła do kanału. Na ulicy Bednarskiej, na Tamce i innych zniżających się ku Wiśle, woda pędząc strumieniem wyrywała bruk; mostki po większej części pozrywane popłynęły do Gdańska, a na nisko położonych ulicach i w ogrodzie saskim woda dziś jeszcze przedstawia rozległe jeziora.

Jednem słowem, kto nie mógł usiedzieć w domu, ten, wedle nieco trywialnego wyrażenia uliczników warszawskich, „używał“ na tegorocznej majówce „jak pies w studni“.

Niepogoda poniedziałkowa nie przeszkodziła jednak gorliwym zwolennikom teatru zebrać się na pierwsze przedstawienie słynnego tragika włoskiego p. Rossi. Grano “Otella“. Niepodobna sobie wyobrazić gry bardziej opracowanej i bardziej konsekwentnej chociaż w pojęciu Rossiego rola Otella jest tylko gradacyą od uczuć ludzkich do coraz to niższych objawów czysto zwierzęcej dzikości. W końcowej scenie nawet, Rossi nie przebija się sztyletem jak inni, lecz podrzyna sobie gardło w szale zwierzęcego uniesienia. Ma on obecnie lat 48, a od 17 r. życia już występuje na scenie. Jestto człowiek z wyższą inteligencyą i nawet miał pewne powodzenie jako autor dramatyczny, między innemi w dramacie: „Adela“, której rolę grywała Ristori. Rossi wystąpi jeszcze cztery razy, w *Hamlecie*, *Makbecie* i *Królu Lirze*, a może także i w „Orestesie“ Alfierego, która to sztuka ma być arcydziełem włoskiej dramaturgii, a u nas jest zupełnie nieznaną. — Towarzystwo Rossiego z wyjątkiem pani Cattaneo składa się z talentów miernych, ale doskonale wyćwiczonych, całość więc wychodzi dobrze.

Wkrótce ma przybyć Warszawie nowość naśladowana z zagranicznych stolic. Będą to kioski pokryte zewnątrz afiszami i ogłoszeniami, a wewnątrz zawierające sklepiki do sprzedaży pism. Oprócz tego ajencya ogłoszeń zawarła umowę z właścicielami kiosków, w skutek której, będą w nich przyjmowane anonsa do wszystkich pism warszawskich, co niejednemu oszczędzi fatygi włóczenia się po rozrzuconych w mieście redakcyach.

Ostatnie wiadomości wojenne ożywiły umysły warszawian. Dawna obojętność ustąpiła miejsca gorączkowemu zajęciu — zwłaszcza od czasu gdy moskiewskie pisma zaczęły poruszać sprawę polską i robić uwagi nad legionem w Turcyi. Liczba prenumeratorów pism codziennych znacznie podskoczyła w górę, tak że nawet „Kuryer poranny“, albo jak go Prus słusznie nazywa „Poroniony“ wytrzymuje współzawodnictwo z dawniejszemi. Czekamy telegramów jak zbawienia.

Na zakończenie przesyłam wam piękny wierszyk Odyńca, który dotychczas nie był drukowany w żadnem piśmie. Rozdawano go tylko uczestnikom ślubu hrabianki Krasińskiej:

Maryi, córce Zygmunta

w dzień ślubu, dnia 9. kwietnia 1877 r.

Pół wieku wnet ubieży, jak w obec Alpejskiej
Dziewicy i Królowej tych gór czarodziejskiej,
Z ojcem twym, obaj młodzi, w uroczystej chwili
Wzajem sobieśmy bratnią przyjaźń zaręczyli,
I gdziebądź los nas rzuci na tej życia toni.
Wierną pamięć do końca, o sobie i o niej.

Bóg nie dał, bym mu innym dowiódł jej sposobem,
Jak szczęściem z jego sławy i łzami nad grobem.
Ale przyjaźń ta dotąd, jako ołtarz Znicza,
Świeci w sercu; i jej to jasność tajemnicza,
Wszystko, co z nim się wiąże, przed oczyma memi
Opromienia w swą świętość i w swój blask na ziemi.

Będziesz-że się więc dziwić Ty, jego jedyna!
Że mi dziś rzewnie w tobie On się przypomina?
Że dawne dlań uczucia i życzliwość bratnią,
Zlewam na cię, na jego dziedziczkę ostatnią —
I przez nie, jakby złączon ducha pokrewieństwem,
Żegnam cię sercem Ojca i błogosławieństwem.

A. E. Odyniec.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— Znakomity włoski artysta Ernesto Rossi występował niedawno wraz z towarzystwem złożonem z trzydziestu osób w Moskwie. Osoby, które miały sposobność znajdować się na kilku przedstawieniach w tem mieście, opowiadają cuda o nadzwyczajnych sukcesach włoskiego tragika. Warszawski teatr wystąpił do Rossiego z propozycyą, aby w powrocie z Moskwy za granicę, zechciał dać kilka przedstawień (patrz Tydz. Warsz.) W Moskwie teatr oddawał mu połowę dochodu, co wynosi około półtrzecia tysiąca rubli za każde przedstawienie.

— Dnia 6go bm. odbył się w Brukselli koncert Józefa Wieniawskiego. Ziomek nasz, znany już belgijczykom z poprzednich swoich tam wystąpień, przyjęty był przez publiczność nadzwyczaj sympatycznie. Żywe oklaski rozlegały się po koncertowej sali, za odegraniem każdej części programu. Szczególnie polonez Webera, wykonany z prawdziwie artystyczną elegancyą, zyskał ogólne uznanie.

— W Poznaniu p. Benda przy współudziale miejscowych i umyślnie ku temu sprowadzonych sił muzycznych, otworzył konserwatorium, czy też instytut muzyczny, o ile widać z ogłoszonego programu, na szeroką skalę. Instytut ten ma być urządzony na wzór takiegoż zakładu w Wiedniu, gdzie pan Benda kształcił się w muzyce. Życzyć należy, aby zakład p. Bendy rozwinął się i zaspokoił miejscowe potrzeby pod tym względem. — Składki na brakującą resztę funduszu budowy gmachu teatralnego, płyną obecnie bardzo obficie, co nastąpiło wtedy, gdy panie poznańskie sprawę tę wziąć raczyły w swoje ręce. Codziennie miejscowe dzienniki podają długą listę składkujących; — z tego co wpływa, wnosić należy, że nie długo składki zamkną się, bo zebrany będzie potrzebny fundusz.

— Za dowód zajęcia się za granicą „Pochodniami Nerona,“ niech posłuży fakt wygłoszenia o nich publicznego odczytu profesora dra Pawła Cassel. Odczyt ten odbył się w auli gimnazyum Fryderyka Wilhelma w Berlinie. Publiczność zebrała się nader licznie.

— Wyszedł z druku XII. i ostatni tom dzieł Klementyny z Tańskich Hoffmanowej, w którym pomieszczoną jest znana powszechnie jej powieść „Jan Kochanowski w Czarnolesiu.“

— W tygodniku niemieckim *Globus*, p. Petzet, b. redaktor niemieckiej gazety wydawanej w Warszawie, potem kierownik *Gazety Szlązkiej*, a obecnie jeden z gorliwych spółpracowników augsburskiej *Allg. Ztng.*, zamieścił ciekawy artykuł o Wiśle, który czytaliśmy streszczony w paryskim *Tour du monde* (nr. 847). Napisany ze znajomością rzeczy i sympatyą, co jest dość wyjątkowem w prasie niemieckiej zjawiskiem.

— Z powodu wojny niektóre dzienniki paryskie, umiejące wyzyskiwać upodobania ogółu publiczności, robią teraz świetne interesa. „Petit Journal“ odbija codzień 500.000 egzemplarzy! Za nim idzie „Figaro,“ a po niem dzienniki radykalne „Rappel“ i organ Rocheforta „Radical.“ Te dzienniki zarabiają grube pieniądze. Inne jednak tracą. Sławny niegdyś spekulant, Emil Girardin, który dorobił się milionów na przedsiębiorstwach dziennikarskich, teraz musi wciąż dopłacać do budżetu swego dziennika „France.“ W roku zeszłym naprzykład, dołożył ze swej kieszeni 140.000 franków. To samo można powiedzieć o wielu innych dziennikach paryskich. Prawdziwie wielkie dochody ma dziennik „Figaro,“ który kilkakrotnie już spłacił swoich akcyonaryuszów, zbudował sobie dla redakcyi, administracyi i drukarni, wspaniały pałac, a płaci nie mniej jak sto franków za artykuł. Znak to nie bardzo dla Francuzów pochlebny, bo dowodzi, że w Paryżu najwięcej powodzenia ma dziennik, schlebiający złym skłonnościom, lekkomyślny i niesumienny.

Konkursy.

— Poznańskie Towarzystwo oświaty ludowej ogłasza konkurs na powieść dla ludu, osnutą na tle dziejów ojczystych. Dziełko ma zawierać 8—10 arkuszy druku, i winno być nadesłane dyrekcyi najdalej do dnia 31. grudnia r. b. Nagroda wynosi 360 marek.

— Towarzystwo historyczno-literackie w Paryżu ogłasza co następuje: „Dwuletni termin ogłoszonego w 1875 r. konkursu Towarzystwa upłynął, nie wywoławszy niestety żadnej pracy odpowiadającej na zadanie nasze. Przedmiotem jego było: „Wykazanie przyczyn wewnętrznych i zewnętrznych upadku kościoła unickiego na Rusi i Litwie, w XVIII i XIX wieku, z poglądem nn dzisiejszy stan tegoż kościoła w Galicyi“. Żałując szczerze, iż żaden z badaczy naszych nie podjął tego zadania, a myśląc, iż druga właśnie część jego, wiążąca niejako przeszłość z chwilą obecną, mogła wstrzymać niejednego pracownika, Rada Towarzystwa żądająca okazać, jaką wagę przywiązuje do tego przedmiotu, postanowiła wspomniany konkurs na rok jeszcze przedłużyć, żeby zaś samo zadanie dostępniejszem dla wszystkich uczynić, ogranicza je do pierwszej jego części, za przedmiot żądanej rozprawy wyznaczając: Wykazanie przyczyn, wewnętrznych i zewnętrznych, upadku kościoła unickiego na Rusi i Litwie w XVIII i XIX wieku. Warunki konkursu pozostają dawniejsze. Żądana praca w języku polskim, odpowiadająca na wymienione zadanie ma wynosić od 12 do 15 arkuszy druku. Autor najlepszej rozprawy otrzyma nagrodę 1800 franków. Kto sobie życzy brać udział w tym konkursie, zechce przysłać swą pracę w rękopiśmie, pod adresem sekretarza Towarzystwa historyczno-literackiego (Paryż, Quai d'Orleans 6), albo p. Józefa Szujskiego, profesora historyi przy uniwersytecie krakowskim, sekretarza generalnego Akademii umiejętności (Kraków, w uniwersytecie jagielońskim). Rękopisma powinne być przysłane bezimiennie i opatrzone godłem wybranem przez autorów, a toż samo godło ma się znajdować na listach zapieczętowanych, które autorowie do rękopismów dołączą. Terminem ostatecznym dla przysłania rękopismów jest dzień 1. marca 1878 r. Na posiedzeniu publicznem dnia 3. maja 1878 roku Rada przyzna nagrodę i zarazem odpieczętowany będzie list noszący godło i ogłoszone imię autora. Inne listy zostaną spalone. Gdyby do dnia 1. marca 1878 roku nie były przysłane żadne tego rodzaju prace, któreby w myśl obecnego konkursu zasługiwały na nagrodę, w takim razie suma 1800 franków ofiarowaną będzie na publicznem posiedzeniu autorowi dzieła historycznego polskiego, które w ciągu ostatnich trzech lat wyszło z druku, i które Rada za najlepsze osądzi.

ROZMAITOŚCI.

— Czytamy w gazecie wychodzącej w Chicago: „Zarzucają nam w Ojczyźnie, że nieprzymuszeni politycznie, opuszczamy ziemię rodzinną i twierdzą, że nam na niej do śmierci, choćby w nędzy i poniewierce, wytrwać należy. Piękna to teorya z ust ludzi, którzy mają byt swój i dalszej generacyi zapewniony. Pomijam, że człowiek nie na to zrodzony, aby w nędzy żył i w nędzy umierał, lecz pytam, co biedak, nędzarz, któremu prawie wszystkie drogi do dobijania się o lepszy byt zabronione, krajowi pomódz może? Chyba jako żer dla armat. Gdyby to jeszcze była solidarność między narodem, lecz jeżeli zamożniejsi bogacą kupców i rzemieślników Niemców; jeżeli wszędzie przekładają jakimbądź, byle obcym językiem mówiącego cudzoziemca nad rodaka, który tylko jako wół w jarzmie służyć ma do najniższej, najcięższej, do tego licho płaconej roboty, to w takim razie lud nasz masi upaść do proletaryatu i wymrzeć nakoniec z nędzy. Nędza przyczynia się choć niewidzialnym sposobem więcej do wyludnienia kraju, niż emigracya. To wiedzą germanizujące i moskwiczące rządy, ztąd też aby lud nędzą wygubić, zamykają mu wszelkie źródła do utrzymania, a uciskają podatkami. Skutki takiego postępowania i dowód twierdzenia mego widzimy dziś w Szląsku i poczęści już w Prusach zachodnich i w Poznańskiem. Jeżeli lud widzi niechybną, swoję zagładę, czy można mu brać za złe, że uciekając przed nią szuka na obcej ziemi życia dłuższego i lepszego bytu? Że mu to trudno przychodzi, widzimy po łzach i boleścią przejętej twarzy każdego wychodźcy, gdy uczuje brak ziemi ojczystej pod nogą. Cóż na przypadek wskrzeszenia Ojczyzny pomódz może krajowi lud w nędzy żyjący? Przypuśćmy, że w takiej chwili tylko jedna część czwarta, lecz zamożna, przedsiębiorcza, obeznana z przemysłem obcych narodów do kraju powróci, to tu więcej przyniesie Ojczyznie korzyści, niż legiony wyszłych biedaków. Niesłuszną jest więc rzeczą, tamować emigracyą ludu biednego, zagładą zagrożonego, ale sprawiedliwą wszelkiego użyć starania, aby lud, który kraj opuścił, nie zapomniał w lepszym bycie swej ojczyzny nie zaniedbał, swojej narodowości, swego języka, aby w razie danym większa część uczuła potrzebę powrotu do kraju rodzinnego. To jest, do czego wszyscy, nietylko tu w Ameryce, ale i w Ojczyźnie zmierzać powinni, tu czynem, tam radą i moralną pomocą; — to jest cel, który sobie Towarzystwo Gminy Polskiej w Chicago wytknęło, szkoda tylko, że głównie w granicach tego wielkiego miasta. O działaniu tego, najpierwsze miejsce w Stanach Zjednoczonych zajmującego stowarzyszenia, mało wiedzą rodacy tu po wszystkich państwach rozproszeni, a prawie nic ziomkowie w Ojczyznie. Ci ostatni, uważając nas jako odpadłych i dla kraju na wieki zgubionych, nie starają się nawet dojrzeć usiłowań i pracy naszej około utrzymania narodowości, a tem mniej, aby w pismach swoich oświecać nas radą swoją w przedsięwzięciu tak ważnem dla ojczyzny. Dążenia nasze, aby się łączyć w większe społeczeństwa, celem łatwiejszego utrzymania i przelania drogich nam spuścizn na dziaci, straszą ich jak mara. Milczą więc o nich zupełnie, aby lud z nędzy umierający nie dowiedział się o tem i nie opuścił kraju by szukać lepszego bytu. W ten sposób pozostawieni sami sobie, nie mając na tem polu doświadczonych przywódzców, zwolna tylko na nieutartej drodze postępować możemy, a to jest stratą dla nas a może większą dla ojczyzny. W Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki mamy mnóstwo Towarzystw pod opieką jakiego świętego, mających na celu zachowanie w czystości religii i wspieranie członków w chorobie. Mamy dalej kilka Kościuszkowskich, lecz jedno jest tylko Stowarzyszenie polityczne, liberalne z głównem zadaniem utrzymania narodowości i bratniej pomocy, a tem jest Gmina Polska w Chicago w mieście drugiem po New Yorku, liczącem około 400,000 mieszkańców, z których około 20,000 Polaków. Towarzystwo to zawiązało się przed 11 laty, gdy polonią w tem mieście jeszcze na dziesiątki liczono. Grono to z początku małe, rozrastało się razem z ludnością w liczbę i powagę tak, że dziś liczy już przeszło 120 zacnych obywateli jako członków. Rozprawy w języku polskim, biblioteka, teatr amatorski polski, utrzymują narodowość naszą w takiej czystości, iż nawet wieloletni tutejsi osadnicy wobec ojczyzny płonić się nie potrzebują; a bratnia pomoc, udzielana szczodrą ręką, nie tylko z ustaw członkom, ale i każdemu nieszczęśliwemu przybyszowi, stała się już nieraz błogosławieństwem. Rozgłos tego Towarzystwa powiększa się w kraju, ale z rozgłosem pomnażają się także jego obowiązki względem rodaków. Tak np. czasby było już dziś zająć się imigracyą t. j. nie wywołaniem rodaków z kraju, lecz umieszczaniem przybywających na odpowiednie im miejsca. Możeby rząd, który setki tysięcy na cel ten wydaje, nie odmówił swojej pomocy. Życzyćby należało, ażeby każdy, któremn utrzymanie narodowosci leży na sercu łączył się z takiem towarzystwem i pomagał mu materyalnie i umysłowo do rozrastania się w powagę, do zajmowania coraz obszerniejszego pola działania. Połączonemi siłami wiele dokazać możemy. T. Choiński.

— O pożarze katedry w Metz, powstałym wskutek iluminacyi na przyjęcie cesarza, otrzymała Köln. Ztg. od korespondenta swego następujące szczegóły: Metz, 7. maja. Katedra w płomieniach! Ten okrzyk na każdym kroku obijał mi się o uszy, gdy obudzony nad ranem alarmem pożarowym wybiegłem na ulicę. Mieszkam w hotelu „de Paris“, prawie o ścianę przylegającym do domu, którego północno-zachodnią stronę miałem przed sobą, znalazłszy się na ulicy. Naprzeciw mnie powybiegali z przerażeniem na twarzy mieszkańcy domów, zwróconych frontem ku katedrze. Wysoko na platformie przed kosciołem spostrzegłem zakonnice w popłochu, załamujące ręce i wołające o pomoc: „La cathédrale brule! O malheur!“ Głęboki żal owładnął mną, kiedy ujrzałem słupy płomieni, wydobywające się z ażurowej gotyckiej galeryi nad wejściem głównem od strony południowo-zachodniej. Dniem przedtem z wieczora iluminowano tam nietylko lampionami, ale nawet ogniami sztucznemi, przy tem więc niezawodnie zapuszczono ogień. Z niesłychaną gwałtownością szerzyły się płomienie i wnet ogarnęły całą nawę środkową oraz wieżę i chór. Przerażała mnie myśl, że płomienie ogarnąć mogą dzwonnicę i że przepalone belki z dzwonami runąć mogą i przebić sklepienia! Na szczęście nie przyszło do tego. Straży ogniowej jakoś nie było pilno, żołnierze przybyli prędzej na miejsce katastrofy i zamknęli ulicę. Wyżsi oficerowie pospieszyli do mieszkania cesarza, który przed piątą pojawił się osobiście w towarzystwie hr. Lehndorffa. Przez główne wejście udał się cesarz do wnętrza katedry, gdzie chór cały stał w płomieniach. Przez okrągłe otwory w sklepieniach sypały się iskry i głównie na kościół, w czem jednak nie było niebezpieczeństwa. Żołnierze dzielnie pracowali. Tymczasem nadjechał także następca tronu, gubernator hr. Schwerin i starszy prezydent miasta. Z zawaleniem się belkowania dachowego ustała gwałtowność ognia. Na szczęście panowała w powietrzu zupełna cisza i teraz wydobywały się jeszcze tylko gęste kłęby dymu z kolumn gotyckich. Zegar wieżowy z całą dokładnością wydzwonił godzinę siódmą; dowód, że nie ucierpiał wcale od płomieni. Utrzymała się także na szczycie wieży chorągiew niemiecka. Inny świadek naoczny pożaru opowiada: Jakkolwiek podnoszą się głosy zaprzeczające, to przecież wobec faktu iluminacyi i ogni sztucznych, spalonych w wigilią katastrofy w gmachu katedralnym, przyczyny pożaru nie trzeba daleko szukać. Zdaje się, że pozostawiono na strychu jakąś rakietę, która w nocy się zapaliła i wznieciła pożar, jakkolwiek do godziny czwartej rano miała tam czuwać straż ogniowa. Wieczna byłaby szkoda starych malatur katedry na szkle których w tych czasach jużby zastapić nie można: malatury te jednak ocalały. Katedra w Metz jest to stara, wspaniała świętynia gotycka, której budowę rozpoczęto w trzynastem stulecia. Nawa jej wykonana została w r. 1392, chór dopiero w piętnastem i szesnastem stuleciu.

— W Atenach pewna młoda panna z bardzo dobrej rodziny Canavassoglon, strzeliła niedawno na ulicę z rewolweru do uwodziciela swego, kapitana wojsk greckich. Sąd awolnił ją od odpowiodzialności. Publiczność zgromadzona przed trybunałem, oczekiwała od rana wyroku. Gdy panna Canavassoglon wyszła z gmachu sądowego, powitano ją z wielkim zapałem i w tryumfie odprowadzono do mieszkania jej rodziców.

— Znany jest powszechnie ciekawy ustęp z dziejów Komuny, którego bohaterem był malarz Courbet, Rząd dnia 18 marca 1871 r. mianował go naczelnikiem wydziału sztuk pięknych, i nowy dygnitarz rozpoczął swą działalność od tego, że kazał obalić kolumnę wandomską, raczej z pobudek estetyki, niż skutkiem swoich przekonań politycznych, gdyż kolumna ta niepodobała mu się, jako dzieło sztuki. Otóż później gdy wojska wersalskie weszły do Paryża, Courbet został pojmany i siedział w więzieniu przez sześć miesięcy; jednocześnie zaś skazano go na zwrot kosztów odbudowania pomnika, wynoszących w ogólnej kwocie 323,051 franków. Przeciw temu wyrokowi protestował Courbet żądając aby obliczenie kosztów rozpatrzyła komisya złożona ze znawców. Sprawa ciągnęła się przez lat sześć, aż w końcu nastąpiło zatwierdzenie wyroku poprzedniego. Skutkiem tego postanowienia, cały majątek Courbeta przyaresztowano, obecnie jednak malarz zawarł umowę ze skarbem, na zasadzie której będzie płacił corocznie po 10,000 franków w dwóch ratach, do czasu zupełnego uiszczenia się z długu, to jest prawie przez lat trzydzieści trzy!

— Ostrożnie z igłą! Przed kilkoma dniami na pewnym obiedzie, danym w Wiedniu wyróżniała się z pomiędzy wszystkich kobiet jedna dama swą piękną figurą i wielkim zbytkiem w toalecie. Na kwadrans przed objadem otaczał ją rój wielbicieli, z których jeden śmielszy od innych, ofiarował jej kwiatek, tkwiący w dziurce od guzika. Kwiatek został przyjęty, ale ponieważ piękna istota nosiła modną suknię, sznurowaną na grzbiecie. więc nie można było umieścić go na gładkim gorsie. — „Możeby przyszyć do sukni“ — zaproponował wielbiciel. Dama się zgodziła jaknajchętniej. Po dokonaniu tej operacyi przez pokojówkę, kwiatodawca zaprowadził „królowę obiadu“ do sali jadalnej. Zaledwie zajęto miejsca przy stole, dał się słyszeć jakiś syk a następnie lekki świst — jakby powietrza wyciskanego z piłki gutaperkowej. Dał się zaś słyszeć w stronie, gdzie królowała owa piękność. Spojrzano na nią i spostrzeżono ze strachem, że anioł ten nagle spada z ciała i biust jego staje się mniej pięknym... Okrągłe kształty znikły, nim skończono jeść zupę. Zanim zaś drugie danie przyniesiono, suknia tak gładko przedtem leżąca, pofałdowała się w wielkie zakładki na szczupłym gorsie. Biedna ofiara chęci podobania się, zapomniała o znikomości pewnych utworów, napełnionych powietrzem, gdy jej do sukni fatalny kwiatek przyszywano. Ostrożnie tedy z igłą piękne panie jeli strój wasz na podobnych opiera się... warunkach!

— Ciekawy wypadek zdarzył się w tych czasach na Podolu. W dobrach *** mieszkał powszechnie znany ze swej oryginalności pan S. Był to człowiek ogromnie bogaty, a przy tem skąpy niesłychanie. Namiętność ta do grosza tak dalego u niego była posuniętą, iż S. skazywał siebie na największe udręczenia, ażeby tylko grosza na nic nie wydać. Żywił się jak ostatni nędzarz, nic nigdy nie kupił, a nawet nie miał w domu papieru, ani też atramentu, utrzymując, że przy rachunku kuponów, bez tego wszystkiego obejść się łatwo można. Niedawno S. umiera, pozostawiając w gotówce i w papierach złożonych w różnych bankach, znaczne bardzo pieniądze, pomiędzy rzeczami znajdują testament, którym nieboszczyk zapisuje całe swe mienie jednemu z dalszych krewnych. Bliżsi czując się pokrzywdzonymi, przeciwko temu protestują, a w wytoczonym procesie zarzucają sfałszowanie testamentu, powołując się na tę okoliczność, iż S. przez całe swe życie nie miał w domu ani papieru ani atramentu. Oryginalna ta sprawa toczy się jeszcze w miejscowym sądzie.

Treść Nr. 38.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego). Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.